

Powiat



Nr 11-12 (189-190), Listopad-Grudzień 2016
Rok XVI * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Gmina Potęgowo

Koniec demokracji klasycznej?

Niedźwiedzie wróciły

Polskie smaki

Nie tylko praca...

Portrecistka ze Świtak

Wsiąkłem w Słupsk

Wielki Rafael w Polsce

Wieś Tworząca



„SREBRNY NIEDŹWIEDŹ”

SŁUPSK, LISTOPAD 2016





**ZDZISŁAW
KOŁODZIEJSKI**
Starosta Słupski

Powiat

SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

W kończącym się roku chciałbym zwrócić uwagę na jedno z zadań, które powiat słupski wykonuje z zakresu administracji rządowej. Mam na myśli nieodpłatną pomoc prawną. Z takiej pomocy mieszkańcy mogli korzystać w tym roku w czterech utworzonych punktach - dwóch w Słupsku i po jednym w Kępicach oraz Głównychcach.

To właśnie w nich ustawowo wskazane grupy otrzymywały nieodpłatnie porady prawne udzielane im przez prawników.

Pomoc ta skierowana jest m.in. do młodzieży do 26 roku życia i do osób starszych, powyżej 65 roku życia, osób korzystających z pomocy społecznej i rodzin wielodzietnych.

W przyszłym roku będziemy również realizować to zadanie i chcielibyśmy, aby dostępność do punktów prawnych była większa. Dlatego od 1 stycznia uruchomione zostaną punkty w kolejnych miejscowościach powiatu - Ustce i Potęgowie. Nie uruchomimy ich w Słupsku, bo zorganizuje takie samorząd miejski

i nasi mieszkańcy będą mogli z nich też korzystać.

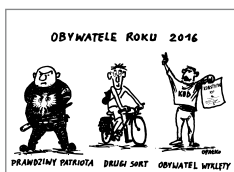
Samorządowców namawiam, by propagowali możliwość korzystania z profesjonalnych porad prawnych. Tym bardziej że są one nieodpłatne. Jestem przekonany, że dzięki zorganizowaniu dwóch dodatkowych punktów w gminach, a nie jak dotąd w Słupsku, w przyszłym roku z porad takich skorzysta większa liczba osób. Punkty będą czynne od poniedziałku do piątku przez cztery godziny dziennie.

Koniec roku to okazja do złożenia życzeń świątecznych i noworocznych. Życzę, by Święta Bożego Narodzenia były dla wszystkich niezapomnianym czasem spędzonym bez pośpiechu, trosk i zmartwień. Niech przebiegną w spokoju, radości, wśród rodziny, przyjaciół i umili je tradycyjna polska kolęda. Niech przysporzą nadziei na lepsze jutro, pozwolą nabrać większego dystansu do życia.

Nowy Rok 2017 niech będzie czasem pokoju oraz realizacji osobistych i zawodowych zamierzeń.

W numerze:

- 2 Radni zdecydowali o powiększeniu rezerwu biosfery
- 2 Kolejne dofinansowanie
- 3 Wspólny projekt
- 3 Artystycznie intelektualni
- 3 Przyjaciele zwierząt
- 4 Patriotyczne śpiewanie
- 4 Bitwy tancerzy
- 4 Morze w piosence
- 5 Mistrzowie czytania
- 5 Pejzaże w starostwie
- 5 Przyroda w obiektywie
- 6 Gmina Potęgowa to dynamicznie rozwijająca się przestrzeń



Wielu polityków popada w uzależnienie od polityki, które nakazuje sprawy narodowe i sprawy społeczne oceniać i traktować nie w kategoriach dobra ogółu, ale w kategoriach politycznych.

- 11 Refleksja obrazoburcza
- 12 Niedźwiedzie wróciły



W tym roku firmy z regionu słupskiego rywalizowały w sześciu kategoriach: mikro i małe przedsiębiorstwa, średnie i duże przedsiębiorstwa, zakłady rzemieślnicze, gospodarstwa agroturystyczne, menedżer słupskiej gospodarki i gospodarczy debiut.

- 14 Bakcyl rodem z PRL
- 17 Polskie smaki



Chronić oraz promować produkty regionalne i tradycyjne, chronić się także dziedzictwo kulturowe wsi, co w dużym stopniu przyczynia się do zwiększenia atrakcyjności terenów wiejskich.

- 19 Wzmocnienie szkolnictwa zawodowego
- 20 Przegląd wałów przeciwpowodziowych
- 21 To nie tylko praca, to również misja



W 1996 roku państwo Rutkiewiczowie z dziećmi uznali, że skoro na kominie jest czynne gniazdo bocianie, nazwa pałacu „Pod bocianim gniazdem”

przyniesie szczęście ich przedsięwzięciu.

- 24 Odszedł Jerzy Henke
- 26 Portrecistka ze Świtła



Na początku malowałam pastelami i farbami olejnymi pejzaże, potem przyszła kolej na kopie obrazów Chętmońskiego, martwe natury i grafiki.

- 28 Takie życie, czyli jak zostałam poetką
- 29 Uhonorowany najwyższym odznaczeniem Finlandii
- 30 Wsiątkiem w Słupsk



Wszystko co udało mi się zrobić w Słupsku uważam za swój sukces zawodowy, bo nie było klęsk. Rozczarowań także właściwie nie było.

- 32 Po drugiej stronie okna
- 33 Wielki Rafael w Polsce



To było wielkie przeżycie zobaczyć w Polsce obrazy wielkich mistrzów renesansu z północnych Włoch, a szczególnie dzieło „Chrystus błogosławiący” Rafaela Santi.

- 35 Jak opowiedzieć Kresy?



Spakowali dobytek, przygotowali się do podróży. Adolf jeszcze raz poszedł na cmentarz do Terebenia, żeby na mogile dzieci postawić mocny dębowy krzyż.

- 37 Metoda na wnuczka w internecie
- 39 Handlowców sposoby na wyciągnięcie pieniędzy

Radni zdecydowali o powiększeniu rezerwatu biosfery



Fot. J. Maziejuk

Na październikowej sesji Rady Powiatu Słupskiego najwięcej dyskusji wywołał projekt uchwały w sprawie zawarcia porozumienia o powiększeniu Słowińskiego Rezerwatu Biosfery. Na nadzwyczajnej sesji listopadowej radni zmienili uchwałę dotyczącą dotowania szkół oraz placówek publicznych i niepublicznych prowadzonych przez inne podmioty niż jednostki samorządu terytorialnego.

Po dyskusji oraz argumentach przedstawionych przez przedstawicieli parku, że roz-

szerzenie rezerwatu nie wiąże się z żadnymi nowymi formami ochrony przyrody, a głównym celem jest rozwój funkcji, które dotychczas były zaniedbane - rozwojowej i wspierania logistycznego, radni przegłosowali przygotowany projekt uchwały w tej sprawie. Zagłosowało za nim 10 radnych, przeciwnych było 3, a 7 wstrzymało się od głosu.

Klub Radnych Platformy Obywatelskiej zawniósł o wprowadzenie do porządku obrad i przegłosowanie stanowiska dotyczącego poparcia budowy drogi ekspresowej S6. Rada poparła przygotowane stanowisko

13 głosami za, nie było głosów przeciwnych i wstrzymujących się. Radni z klubu Prawo i Sprawiedliwość nie wzięli udziału w głosowaniu. Wcześniej domagali się wykreślenia z projektu stanowiska akapitu dotyczącego wypowiedzi wiceministra infrastruktury i budownictwa - Jerzego Szmita, podającego w wątpliwość realizację w najbliższych latach tej inwestycji.

Przegłosowano projekty uchwał: w sprawie Programu współpracy powiatu słupskiego z organizacjami pozarządowymi na 2017 rok, powierzenia gminie Słupsk zadania powiatu z zakresu edukacji publicznej

polegającego na założeniu i prowadzeniu liceum ogólnokształcącego o profilu wojskowym, określenia zadań, na które przeznaczają się środki Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, udzielenia pomocy finansowej miastu Słupsk na wyjazd uzdolnionych uczniów na konferencję naukową do USA, diet radnych i o darowiźnie nieruchomości gminie Słupsk.

Listopadową sesję (29) poświęcono przede wszystkim zmianie uchwały Nr XIV/127/2015 Rady Powiatu Słupskiego z 29 grudnia 2015 roku o ustaleniu trybu udzielania i rozliczania dotacji oraz trybu i zakresu kontroli prawidłowości wykorzystywania dotacji udzielonych dla szkół i placówek publicznych i niepublicznych, zakładanych oraz prowadzonych na terenie powiatu słupskiego przez podmioty inne niż ministrowie i jednostki samorządu terytorialnego. Dokonanie zmiany było niezbędne do udzielenia Usteckiemu Towarzystwu Oświatowemu dotacji na prowadzenie uruchomionego z dniem 1 września br. gimnazjum mistrzostwa sportowego, w którym naukę pobiera 53 uczniów. **(P.L.)**

Kolejne dofinansowanie

Powiat słupski znalazł się na liście rankingowej Programu Rozwoju Gminnej i Powiatowej Infrastruktury Drogowej na 2017 rok. Uzyskał maksymalne dofinansowanie, w wysokości 3 mln zł na przebudowę drogi powiatowej Dobieszewo-Gogolewko.

Na 25 wniosków złożonych przez samorządy powiatowe, wniosek powiatu słupskiego uplasował się na drugim miejscu listy rankingowej. Przebudowanych zostanie kolejnych 12 kilometrów drogi. Łączna wartość inwestycji to 7 mln złotych, po 2 miliony dołożą - po-

wiat słupski i gmina Dębica Kaszubska.

Uzyskując to dofinansowanie powiat słupski osiągnął w bieżącym roku 100-procentową skuteczność w pozyskiwaniu funduszy na inwestycje drogowe. Dofinansowanie uzyskano także na remont drogi powiatowej Głębino-Dobieszewo i Stowięcino-Potęgowo. Z Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich pozyskano natomiast środki na przebudowę drogi powiatowej na terenie gminy Smóldzino.

Uzyskane dofinansowanie na drogę Dobieszewko-Gogolewko plasuje powiat słupski na pierwszym miejscu wśród



Fot. J. Maziejuk

wszystkich powiatów w województwie pomorskim pod względem pozyskanych fundu-

szy na infrastrukturę drogową, na półmetku obecnej kadencji samorządu. **(P.L.)**

Wspólny projekt

Młodzież z niemieckiego powiatu Herzogtum

Lauenburg i Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku realizowała projekt „Myśl globalnie – działaj,

oszczędzaj i chroń lokalnie”. Poznawała zagadnienia związane z ochroną środowiska i energią odnawialną.

Projekt przygotowała Zeno-bia Dąbrowska - nauczycielka języka niemieckiego w ramach działającego Młodzieżowego Centrum Edukacji Ekologicznej przy słupskim Zespole Szkół Agrotechnicznych, a spotkanie młodzieży było kontynuacją trwającej już od ponad 15 lat współpracy powiatu słupskiego z powiatem Herzogtum Lauenburg.

Realizując projekt młodzież zwiedziła biogazownię „Naclaw” w gminie Polanów, elektrownie wodne w Gałęźni Małej i Żydowie, bunkry Blühera w Ustce, pałac Technikum Leśnego, Centrum Edukacji Regionalnej „Niezapominajka” i Ośrodek Rehabilitacji Ptaków Drapieżnych w Warcinie.

Zapoznała się też z zabytkami i atrakcjami turystycznymi Słupska, Ustki, Gdyni oraz Gdańska. Odwiedziła Centrum Nauki Experiment oraz Oceanarium w Gdyni. (Z.D.)

Artystycznie intelektualni

Stowarzyszenie „Zacisze” działające przy Domu Pomocy Społecznej w Lubczewie i Koło Gospodyń Wiejskich z Lubczewa realizowało projekt pn. „Artystycznie intelektualni, czyli 10 dni dla kultury”.

Projekt miał sprawić, by wiele osób przełamało strach przed upublicznieniem swoich talentów i pragnień realizacji pasji. Dlatego odbyło się dziesięć spotkań integracyjnych i aktywizujących mieszkańców Lubczewa, plener malarski „Zakłęci w sztuce”, spotkanie literackie, literacko - redakcyj-

ne, teatralne i święto projektu. W spotkaniu rozpoczynającym projekt wzięło udział ponad siedemdziesiąt osób. W plenerze malarskim - ponad pięćdziesiąt. Namalowane prace można było obejrzeć podczas podsumowania projektu.

Prze pięć dni bawiono się teatralnie. Wszystkie spotkania odbywały się pod hasłem „Metafora”, bo taki tytuł otrzymały scenki teatralne. Dziesięć artystycznych dni poświęconych kulturze dofinansowało Narodowe Centrum Kultury w Warszawie, a projekt realizowano od sierpnia do listopada br. (K.S.)



Fot. Archiwum DPS Lubczewo

Przyjaciele zwierząt

Słupski oddział Stowarzyszenia Naukowo-Technicznego Inżynierów i Techników Rolnictwa realizował projekt „Przyjaciele zwierząt - edycja 2016”.

Projekt skierowano do 450 dzieci i młodzieży (270 przedszkolaków i 180 uczniów szkół podstawowych). Był kontynuacją podobnej akcji prowadzonej w 2012 roku. Dla przedszkolaków przygotowano specjalny program dostosowany do ich wieku i wrażliwości. Z dziećmi szkolnymi prowadzono dyskusje, pogadanki, gry i tema-

tyczne zabawy edukacyjne. W każdym spotkaniu uczestniczył wyszkolony pies, którego

opiekun demonstrował i omawiał podstawowe zasady opieki nad zwierzęciem.



Fot. J. Maziejuk

- Na podstawie dotychczasowych doświadczeń można stwierdzić, że zajęcia takie wnoszą wiele nowego w edukację dzieci. Naturalna wrażliwość i ciekawość dzieci na otaczający je świat oraz chęć poznawania i działania, jest właściwym uzasadnieniem, aby prowadzić taką edukację. Obcowanie ze zwierzętami uczy wrażliwości i bezinteresowności, wzbudza wśród dzieci poczucie empatii oraz rozbudza potrzeby poznawcze - powiedziała Dorota Duch ze stowarzyszenia realizującego projekt.

Projekt dofinansowało słupskie starostwo, a dla dzieci zorganizowano też jeszcze konkurs plastyczny o tematyce zwierzęcej. (D.D.)

Patriotyczne śpiewanie

Ireneusz Borkowski zorganizował w Słupsku I Festiwal Pieśni Patriotycznych i Wojskowych.

Festiwal odbył się 9 listopada przy muzealnym Spichlerzu. Swoim patronatem objął go m.in. Wojciech Fałkowski - podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej. Imprezę zainaugurowało wspólne wykonanie pieśni legionów „My, Pierwsza

Brygada”. Następnie na scenie zaprezentowały się zespoły i soliści: „WZW Wiarusy”, „Ze Starego Kufra”, „BELL CANTO”, Paulina Łąga, Eliza Praszowska, Lucyna Wodzyńska, Dagmara Żarna i Janusz Piotr Kowalkowski.

Teksty piosenek były wyświetlane na specjalnie przygotowanym ekranie i każdy mógł się przyłączyć do wspólnego śpiewania. (CER)



Fot. M. Smoliński



Fot. M. Smoliński

Bitwy tancerzy

Ponad stu tancerzy z kraju i zagranicy wzięło udział w Ogólnopolskich Zawodach w Breakingu/Breakdance „Listopadowa Rewolucja” w Zespole Szkół w Redzikowie.

Zawody odbyły się 19 listopada. Pierwsze miejsce w grupie do 11 lat wywalczyła ekipa „Bad Angels” z Berlina, w kategorii 11-16 lat triumfowali, po bardzo zaciętej walce z „Top Toys” z Koszalina, tancerze z „Black Wolves” z Rynu koło Kętrzyna. Z kolei w najstarszej kategorii najlepsza okazała

się ekipa z Gdańska - Stachu i Wachu.

Zwycięzcy zachwycili tego dnia sędziów i publiczność wspaniałą postawą i doskonałym przygotowaniem. Walka finałowa dostarczyła ogromnych emocji i utwierdziła jej obserwatorów, w tym, kto jest aktualnie numerem jeden.

- Uważam, że tegoroczna „Listopadowa Rewolucja” była jedną z fajniejszych i ciekawszych edycji ze wszystkich dotychczasowych - ocenił zmagania zawodników Paweł Kamiński z Haribo Crew, główny organizator i spiker zawodów. (CER)

Morze w piosence

Wydarzeniem okazał się III Pomorski Festiwal Piosenki Marynistycznej „Marina 2016” w Kobylnicy.

Festiwal odbył się 4 listopada i wystąpiło na nim czternaścioro solistów oraz jedenaście zespołów ze szkół podstawowych i gimnazjalnych. Młodzi artyści przyjechali do Kobylnicy z Dąbek, Głównicz, Helu, Kobylnicy, Kołobrzegu, Słupska, Szczecina, Ustki, Wojanowa, Wytowna i Zaleskich

Jury w składzie: Elżbieta Stec (przewodnicząca), Karolina Machutta-Gałązka, Tomasz Ozdoba i Joanna Gasperowicz-Kucharska (sekretarz) uznało, że w kategorii zespołów składających się z uczniów klas I-III szkół podstawowych zwycię-

żyło „DO - RE - MI” ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Słupsku, w kategorii zespołów składających się z uczniów klas IV i VI szkół podstawowych i gimnazjów - „Małe Muszelki” z Centrum Pomocy Dzieciom

w Ustce, a w kategorii solistów szkół podstawowych z klas I-III Grand Prix należy się Julii Wałczerek z Gminnego Ośrodka Kultury w Główniczach. W kategorii solistów gimnazjów zwyciężyła Julia Kuśmierk z Zespołu Szkół Samorządowych w Kobylnicy.

W każdej kategorii wyłoniono też laureatów miejsc drugich i trzecich oraz przyznano wyróżnienia. Przyznano także nagrody specjalne, w tym dwie Marka Gróbarczyka - ministra gospodarki wodnej i żeglugi śródlądowej. Otrzymały je „DO - RE - MI” i „Małe Muszelki”. (MS)



Fot. M. Smoliński

Mistrzowie czytania

Wiktorja Bałyk ze Szkoły Podstawowej w Motarzynie została laureatką w kategorii klas I-III powiatowych eliminacji konkursu czytania po kaszubsku „Méster bëłnégò czëtaniò”.

Eliminacje przeprowadzono 3 listopada w Szkole Podstawowej nr 2 w Słupsku. Zgłosiło się do nich sześć szkół z powiatu słupskiego - z Redzikowa, Bierkowa, Kobylnicy, Kwakowa, Sycewic i Motarzyna oraz Szkoła Podstawowa nr 2 w Słupsku. Uczestnicy mieli jak najpiękniej przeczytać wylosowany tekst w języku kaszubskim.

W kategorii klas I-III szkół podstawowych wzięło udział ośmioro uczniów. Poza główną laureatką Wiktorją Bałyk nagrodzone zostały także - Vanessa Kotwica i Weronika Jachimowska ze Szkoły Podsta-

wowej w Sycewicach. W kategorii uczniów klas IV-VI pierwsze miejsce przyznano Agacie Kubiś ze Szkoły Podstawowej w Sycewicach, drugie - Weronice Ostrowskiej - również ze Szkoły Podstawowej w Sycewicach, a trzecie - Aleksandrze

Kunkel ze Szkoły Podstawowej Bierkowie.

W kategorii uczniów klas gimnazjalnych zwyciężyła Julia Banaszek z Zespołu Szkół w Redzikowie, drugie miejsce przyznano Klaudii Kilanowskiej - również z Zespołu Szkół w Redzikowie, a trzecie - Oldze Kopczewskiej z Zespołu Szkół w Kobylnicy.

Ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Słupsku nagrodzono Julię Barcikowską, Julię Piszko i Weronikę Dłubisz. Wszyscy laureaci reprezentowali powiat słupski i Słupsk 26 listopada na finale regionalnym konkursu w filii nr 1 Biblioteki Publicznej Gminy Wejherowo w Bolszewie. (Inf. SP)



Fot. M. Pakuła



Fot. J. Maziejuk

Pejzaże w starostwie

W holu słupskiego starostwa przygotowano wystawę malarstwa Bogumity Skomoroko.

Malarka od piętnastu lat związana jest z Klubem Plastyka im. Stefana Morawskiego w Słupsku, należy też do Stowarzyszenia Obszar Wrażliwości Artystycznej w Słupsku. Przez wiele lat dyktowała Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Słupsku.

Większość prezentowanych na wystawie prac pochodzi z plenerów „Pejzaże Pomorza” zorganizowanych przez Słupski Ośrodek Kultury. Są to pełne zadumy pejzaże, kwiaty, architektura i kobiety w otoczeniu tajemniczej przyrody.

Wystawę zorganizowało Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku. (CER)

Przyroda w obiektywie

Sukcesem okazał się konkurs fotograficzny „Przyroda powiatu w obiektywie – edycja 2016”. Na konkurs prace nadeszło 49 amatorów fotografowania.

8 listopada w starostwie uroczystie wręczono nagrody laureatom. W kategorii „Krajobraz” zwyciężył Witold Leśniewski z Dębnicy Kaszubskiej za zdjęcia: „Sztormowy poranek”, „Świt na plaży” i „Zimowy Brzask”. W kategorii „Flora i Fauna” zwyciężyła Kinga

Walawicz - także z Dębnicy Kaszubskiej za zdjęcia „Niezwykła podróż” i „Deszcz”. W kategorii „Przyroda oczami dzieci” - Zuzanna Zabieglik z Dąbrowna za zdjęcie „Metamorfoza”, a w kategorii „Przyroda oczami młodzieży” - Maciej Wołk z Obłęża za zdjęcie „Motyle barwy”.

W każdej kategorii wyłoniono także laureatów drugich i trzecich miejsc oraz przyznano wyróżnienia. Nagrodzone prace wyeksponowane zostały na wystawie w starostwie. (WOŚ)



Fot. J. Maziejuk

- Użył Pan kiedyś określenia, że gmina Potęgowo to dynamicznie rozwijająca się przestrzeń rolnicza, produkcyjna i usługowa. Co należy przez to rozumieć?

- Gmina nasza rozwija się dzięki korzystnemu położeniu przy drodze krajowej S6, pomiędzy aglomeracją trójmiejską a Słupskiem. Przez Potęgowo przebiega też linia kolejowa łącząca Szczecin z Gdańskiem. Takie dobre położenie sprzyja rozwojowi gospodarczemu i społecznemu. Ale to nie wszystko, wyznaczyliśmy specjalny obszar do inwestowania - Wielofunkcyjny Ośrodek Przemysłowo-Usługowy, który od Słupska dzieli trzydzieści, od Lęborka - dwadzieścia, od portu lotniczego w Gdańsku - około stu, a od portu morskiego - osiemdziesiąt kilometrów. Właścicielem terenu jest gmina Potęgowo, która w 2008 roku wygrała trzecią edycję prestiżowego konkursu „Grunt na medal”. Ośrodek ten został najlepszym terenem inwestycyjnym w województwie pomorskim. Patronuje mu Słupska Specjalna Strefa Ekonomiczna i dwa przedsiębiorstwa już rozpoczęły w nim działalność. Tworzymy też dobry klimat dla rozwoju energetyki odnawialnej. Działają u nas elektrownie wiatrowe, pracuje nowoczesna - największa w kraju biogazownia, Regionalna Przetwórnia Odpadów Komunalnych z nowoczesną instalacją do sortowania odpadów, kompostownia i do produkcji paliw alternatywnych. Przez gminę przebiegać będzie projektowana droga ekspresowa S6. Na około 9-kilometrowym odcinku tej trasy zaplanowano dwa węzły drogowe - Rzechcino i Skórowo, przejazd przez drogę powiatową w kierunku miejscowości Nieckowo i dwa przejazdy przez drogi gminne w miejscowości Węgierskie. Ponadto koncepcja budowy drogi ekspresowej zakłada wybudowanie około dwunastu dróg dojazdowych do pól rolnych oraz przejścia dla zwierząt. W związku z tą planowaną inwestycją na terenie gminy powstają nowe kopalnie kruszywa i rozważane jest utworzenie zakładu produkującego beton. Wszystko to przyczynia się do rozwoju gminy.

- Gmina to także ludzie, ich aktywność, zasoby finansowe. Czy zalicza Pan gminę Potęgowo do gmin bogatych?

- Mamy zarejestrowanych i działających 216 podmiotów gospodarczych. Są to różne firmy, w większo-

Gmina Potęgowo to dynamicznie rozwijająca się przestrzeń

Z Dawidem Litwinem - wójtem gminy Potęgowo rozmawia Włodzimierz Lipczyński.

ści działające w skali mikro, ale są też i większe wyróżniające się skalą i rodzajem działalności oraz liczbą zatrudnionych osób. Jesteśmy jednak gminą rolniczą, użytki rolne zajmują u nas aż 66 procent powierzchni, grunty leśne, zadrzewione i zakrzewione - 28 procent. Muszę powiedzieć, że rolnictwo jest w naszej gminie na wysokim poziomie. Stąd mamy też firmy, które zajmują się wykonywaniem usług rolniczych. Czy w związku z tym jesteśmy gminą bogatą? Z pewnością mamy szansę taką być. Na razie osiągamy dochody na poziomie 28 milionów złotych. Składają się na nie środki własne oraz pochodzące z budżetu państwa. W dochodach własnych, po wpływach z podatku od nieruchomości, kolejne miejsce zajmuje podatek rolny. Rocznie uzyskujemy z niego ok. 1,2 miliona złotych. Dotacje i subwencje stanowią ok. 67 procent wszystkich dochodów gminy. Pozostała część przypada m.in. na środki pozyskane na realizację różnych zadań, w tym z Unii Europejskiej. Jesteśmy gminą stabilną finansowo, od dwóch lat nie musimy zaciągać zobowiązań, wystarcza nam pieniędzy na zadania.

- Jak przedstawia się stan sanitarny i zasób komunalny gminy?

- Gmina nasza jest skanalizowana w prawie siedemdziesięciu procentach. Tak zwany, wyznaczony obszar aglomeracji Potęgowo, jest skanalizowany w dziewięćdziesięciu dwóch procentach! Istnieją na naszym terenie dwie nowoczesne oczyszczalnie ścieków - wybudowane z udziałem środków unijnych. Oczywiście

jest jeszcze wiele do zrobienia. W najbliższym czasie będziemy na przykład rozbudowywać sieć kanalizacji sanitarnej w Skórowie. Projektujemy też przyłączenie kolejnych miejscowości do niedociągniętych oczyszczalni ścieków. Przystępujemy do bardzo nowoczesnego projektu budowy ciepłociągu z przyłączeniem do istniejącej biogazowni, pozyskującej energię ze spalania biogazu, powstającego w wyniku fermentacji masy organicznej. Stale modernizujemy infrastrukturę wodociągową, aby zapewnić dobrą wodę oraz odpowiednie jej ciśnienie. W ubiegłym roku w miejscowości Grabkowo wybudowaliśmy wodociąg i nowe ujęcie wody. W tym roku likwidujemy stare ujęcie wody w Chlewnicy i zbudujemy nowe ujęcie. Będzie to niezwykle istotne ujęcie, bo zasili w wodę także Potęgowo z naszym obszarem przemysłowym. Większość naszych dróg jest już w dobrym stanie. W ostatnich dwóch lat zmodernizowaliśmy drogi w Radosławie, Nowej Dąbrowie, Malczkówku, Malczkowie, Potęgowie, Grąbkowie. Teraz chcemy zmodernizować drogę na odcinku Łupawa - Żochowo i w Nieckowie. Współfinansujemy wspólnie z powiatem słupskim i gminą Głównicyze przebudowę drogi powiatowej na odcinku Poblócie - Potęgowo. Posiadamy w swoim zasobie 31 mieszkań socjalnych. Potrzeby są oczywiście dużo większe, dlatego jeszcze w tym roku rozpoczniemy modernizację starego budynku w Potęgowie z przeznaczeniem na takie mieszkania. Projekt nasz dotyczący budowy takich mieszkań został



wysoko oceniony przez Bank Gospodarstwa Krajowego i otrzymał 45 procent dofinansowania. Pytał Pan o stan sanitarny, zatem w kontekście tego co powiedziałem i co robimy oceniam, że jest dobry. Dodam, że rozwój naszej gminy odbywa się z poszanowaniem środowiska naturalnego i przy jak największym udziale odnawialnych źródeł energii.

- Czyli... gmina idealnie się rozwija?

- Nie wiem czy taką już jest, mogę natomiast powiedzieć, że robimy wszystko, by taką właśnie była. Osobiście bardzo ambicjonalnie traktuję swoją rolę jako wójta. Jestem jednym z najmłodszych wójtów, jeśli nie

w Polsce, to w województwie na pewno i to mnie mobilizuje. Bardzo odpowiedzialnie do spraw gminy i jej mieszkańców podchodzi także Rada Gminy, podchodzą też moi urzędnicy. Chcemy wykorzystać wszystkie możliwości rozwoju i ciągle szukamy nowych. Naturalnie, nie wszystko czym gmina Potęgowo dziś stoi jest zasługą moją i moich współpracowników. Wiele zrobiono już wcześniej. Na przykład od 2011 roku funkcjonuje w Potęgowie nowoczesne i duże, zbudowane od podstaw Gminne Centrum Kultury. Obiekt został zbudowany w znacznej mierze za środki pozyskane z Regionalnego Programu Operacyjnego dla Województwa

Pomorskiego na lata 2007-2013. W dziesięciu sołectwach działają świetlice. Dzięki posiadanemu nowoczesnemu Centrum Kultury w tym roku nasza gmina mogła być gospodarzem Powiatowego Święta Plonów. Było to dla nas duże wyróżnienie, bo mogliśmy pochwalić się naszymi obiektami i sprawną organizacją. Działają u nas dwa Zespoły Szkół - w Potęgowie i Łupawie oraz Szkoła Podstawowa w Skórowie. Wszystkie są doposażone. W tym roku kosztem 1,1 miliona złotych zbudowaliśmy boisko wielofunkcyjne przy Zespole Szkół w Łupawie - z nawierzchnią poliuretanową i z trawy syntetycznej. Drugi taki obiekt powstanie wkrótce przy szkole w Potęgowie, wiemy już, że będzie kosztował ponad 570 tysięcy złotych i uzyskamy nań 85 procent dofinansowania. Będziemy realizować projekt „Nowoczesne przedszkole - Nowoczesny rozwój - Nowoczesna Edukacja za blisko 776 tysięcy złotych, w tym 95 procent to też dofinansowanie zewnętrzne. Zakłada on wyposażenie szkół w pomoce dydaktyczne oraz wsparcie uczniów dodatkowymi zajęciami z matematyki, języka angielskiego, komputerowymi. Wsparciem objęci zostaną również nauczyciele

W ostatnim czasie usprawniliśmy życie osobom starszym i niepełnosprawnym. Uruchomiliśmy gminny transport publiczny, który działa w każdy wtorek i piątek (z wyjątkiem dni świątecznych i wolnych od pracy). Mieszkańcy mogą swobodnie poruszać się po terenie całej gminy w celu załatwienia bieżących spraw. Wprowadziliśmy System Teleopieki Domowej. Dzięki zawartej umowie z Polskim Centrum Opieki w Gdyni mieszkańcy uzyskali bezpłatny dostęp do tej usługi. Umożliwia ona wezwanie pomocy w przypadku zagrożenia życia czy zdrowia. Osoby objęte tą usługą zostały wyposażone w specjalny aparat telefoniczny oraz niewielki nadajnik w formie bransoletki lub wisiorka. Jeśli źle się poczują i będą chciały wezwać pomoc, wystarczy, że tylko naciśną czerwony przycisk w nadajniku, a rządzenie samo już powiadomi najbliższą rodzinę lub odpowiednie służby ratownicze. Finansujemy zajęcia ruchowo-rekreacyjne dla osób starszych.. Wyzaczyliśmy specjalne miejsca parkingowe dla osób niepełnosprawnych. Współpracujemy także z organizacjami pozarządowymi i podmiotami ekonomii społecznej.

Działa u nas Spółdzielnia Socjalna i Centrum Integracji Społecznej, które przyczyniają się do zmniejszenia bezrobocia. Jeszcze dwa lata temu mieliśmy 500 osób bezrobotnych, a obecnie mamy już tylko niespełna trzysta siedemdziesiąt.

- Muszę przyznać, że zaskakuje mnie Pan działaniami. Jest ich naprawdę dużo. Zapytam więc, jakie są jeszcze najbliższe plany gminnego samorządu i co chcecie zrobić w nieco dalszej perspektywie?

- Mamy wytyczone kierunki rozwoju na kolejne lata i są one związane przede wszystkim z dalszym rozbudowywaniem infrastruktury drogowej i wodno-kanalizacyjnej. Przygotowujemy kolejne rozwiązania, które sprawią, że gmina nasza stanie się jeszcze bardziej nowoczesna, a jednocześnie zachowa właściwy stan środowiska naturalnego. Plany nasze wiążą się oczywiście z możliwościami pozyskania środków zewnętrznych. W najbliższym czasie - jak już wcześniej powiedziałem - przystąpimy do rozbudowy sieci kanalizacji sanitarnej na terenach przyległych do Potęgowa i Skórowa. Projektujemy przyłączenie kolejnych miejscowości do niedociążonych jeszcze oczyszczalni ścieków. Przystąpimy też do budowy ciepłociągu, by w większym stopniu wykorzystywać energię ciepłą z naszej biogazowni. Planujemy modernizację kolejnych dróg, na przykład drogi gminnej Żochowo - Łupawa. Ważna będzie również przebudowa drogi gminnej w Potęgowie (w ulicy Szerokiej). Zamierzamy na tym odcinku położyć nową nawierzchnię asfaltową, wykonać chodniki i jazdy z kostki betonowej, a także ciąg pieszo-rowerowy o nawierzchni asfaltowej. Istotnym elementem tego zadania będzie również przebudowa drogi gruntowej w kierunku szkoły. Poprzez przebudowę tego odcinka skrócony zostanie dojazd do szkoły w Potęgowie oraz droga ta będzie przelotową w kierunku miejscowości położonych za wiaduktem.

Planujemy również podjąć się termomodernizacji obiektów użyteczności publicznej i zacząć instalować panele fotowoltaiczne. W tym celu opracowany został „Plan gospodarki niskoemisyjnej dla gminy Potęgowo - szansa na rozwój lokalnej, innowacyjnej i energooszczędnej gospodarki”. Plan ten jest niezbędny przy ubieganiu się o dofinansowanie w ramach

perspektywy finansowej 2014-2020 na planowane przez naszą gminę inwestycje - na modernizację sieci ciepłowniczej i instalację paneli fotowoltaicznych na budynkach użyteczności publicznej. Zostanie też dobrojony teren Wielofunkcyjnego Ośrodka Przemysłowo-Usługowego, co powinno jeszcze bardziej zachęcić przedsiębiorców do inwestowania u nas. Mamy też atrakcyjne tereny pod budownictwo mieszkaniowe - w Potęgowie i Łupawie. Teren w Potęgowie jest w trakcie uzbrajania i stanowi świetną lokalizację. W Łupawie jest już uzbrojony i ma duże walory przyrodnicze.

- Na koniec zapytam, skąd u Pana, młodego człowieka tyle determinacji do działania. Wiąże Pan jeszcze jakieś inne osobiste plany z gminą Potęgowo?

- Z gminą tą związany jestem od zawsze. Tutaj się wychowywałem, uczęszczałem do szkoły. Jestem absolwentem Politechniki Koszalińskiej, którą ukończyłem w 2010 roku z tytułem magistra ekonomii. Mimo że obecnie mieszkam w Łęborku, mam jednak zamiar wybudować dom w gminie Potęgowo, a konkretnie w Nowym Skórowie i tam docelowo zamieszkać z niedawno poślubioną małżonką. W 2010 roku zostałem wybrany radnym tej gminy na kadencję 2010 -2014. Wcześniej, zanim zostałem wójtem, pracowałem na stanowisku dyrektora w Centrum Integracji Społecznej, którego byłem współzałożycielem i pomysłodawcą. Centrum to nadal istnieje i aktywizuje osoby bezrobotne. Jest największe w powiecie słupskim i jednym z większych w województwie pomorskim. W 2014 roku zostałem wybrany na wójta. Mieszkańcy obdarzyli mnie ogromnym kredytem zaufania. W wyborach dali mi szansę i nie mogę jej teraz zmarnować i zawieść mieszkańców. W funkcjonowaniu każdego urzędu administracji samorządowej można wyróżnić działania, które są unikalne oraz się powtarzają. Nie wszystko, co podpatrzymy u sąsiadów da się zaraz przenieść na nasz grunt. Jednak ja bardzo cenię sobie wizyty w gminach sąsiednich i zaprzyjaźnionych. Coraz bardziej przekonuję się, że wymiana spostrzeżeń i doświadczeń może owocować dobrymi rozwiązaniami. Wierzę, że w ciągu kolejnych dwóch lat uda mi się zrealizować wszystkie zamierzenia.

Rozmawiał: Włodzimierz Lipczyński
w.lipczynski@interia.eu

Większość Czytelników na dźwięk słowa uzależnienie zapewne wzdraga się i zaraz myśli o czymś z pogranicza naszych złych przyzwyczaję. Z odrazą myśli o nalogowych alkoholikach, palaczach tytoniu i ćpunach. Po krótkim zastanowieniu się może jeszcze do tego dorzucić rozmaitych hazardzistów, seksoholiców i tych, którzy nadużywają leków, zwłaszcza suplementów diety.

O czym jeszcze lub o kim można powiedzieć, używając słowa uzależnienie? Od czasów, gdy zapanowała moda na powszechną komputeryzację i telefonię komórkową, coraz częściej narzekamy na uzależnianie się od tego rodzaju środków przekazu, które - jak pamiętamy - wcześniej wyparły telewizję.

Uzależnienie naszych dzieci i wnuków od wielogodzinnego chodzenia ze słuchawkami na uszach i słuchania muzyki oraz ślęczenia przed ekranami komputerów, laptopów i tabletów szkodzi zdrowiu, osłabia słuch i wzrok, a tematyka i charakter uwielbianych przez młodzież gier komputerowych wpędza w rozmaite kompleksy jej rodziców, nauczycieli i wychowawców, powoduje zaburzenia i rozchwiania psychiki, na które młode organizmy biologicznie nie były wcześniej przygotowane.

Tak, to szalenie trudne, ale i znane współcześnie tematy, z którymi wielu z nas boryka się na co dzień. O których często się pisze. O ich negatywnych skutkach alarmują nas psycholodzy i psychoterapeuci, ale długo jeszcze będziemy szukać skutecznych środków zaradczych.

Gwoli ścisłości w tym miejscu należy się wyjaśnienie, że uzależnienie staje się czymś, bez czego nie możemy się obejść. Stopień nasilenia tych potrzeb określa jednocześnie poziom owego uzależnienia i obszar problemu. Pisząc o uzależnieniach, chciałbym skupić uwagę na dwóch kolejnych problemach, a mianowicie na pracy i polityce.

Pracoholicy to ludzie, którym przypisuje się wiele kolejnych wad, którzy nie wyobrażają sobie życia bez pracy, którym czynności związane z wykonywaniem zawodu lub jakiegokolwiek innej pracy pochla-

Czy mamy koniec demokracji klasycznej?

Wielu polityków popada w uzależnienie od polityki, które nakazuje sprawy narodowe i sprawy społeczne oceniać i traktować nie w kategoriach dobra ogółu, ale w kategoriach politycznych, to znaczy racji, lub tylko założeń partii politycznej, ugrupowania, z którym się związali.

niają bez reszty czas, są w stanie poświęcić na nie wiele ze swego życia, często nie potrafiąc wartościować, co jest ważniejsze; praca, czy życie rodzinne? Praca, czy przyjemności dnia codziennego?

Pracoholik nie dba o zdrowie, bo... nie ma na to czasu. Bo nie ma nawet kiedy pomyśleć o sobie, nie mówiąc już o innych - najbliższych ze swego otoczenia. wiemy, że na kuli ziemskiej istnieją nawet całe populacje, narody, którym przypisuje się wieczne przywiązanie do pracy, którzy pracują na okrągło. Z pracą są związani od dzieciństwa po starość. O kim myślę? Na przykład o Japończykach, czy też Chińczykach. Ale... hola, hola. To nie jest ich własny, pojedynczych Chińczyków, czy Japończyków wybór. To przymus polityczny, który spowodowało państwo wobec swego narodu, czyniąc go swymi niewolnikami. To masowy pracoholizm wywołany przez politykę.

Polityka - tu dochodzimy do sedna, to znaczy jako autor tego felietonu dochodzę do meritum tego wyводу, pochłaniającego w ostatnich miesiącach tego roku uwagę Polaków. Ba, żeby tylko rodaków. Przecież wybory kolejnego 45-go w historii Ameryki prezydenta Stanów Zjednoczonych skupiały na sobie uwagę całego świata.

Zanim jednak przejdę do wyborów w USA, zamknijmy temat pracoholików. Zwłaszcza tych związanych politycznie z państwem, czyli z przymusu politycznego (uzależnionych od państwa).

Poprzednie rządy Platformy Obywatelskiej i PSL wbrew wielu znaczącym zresztą oporom społecznym podniosły Polakom wiek emerytalny. Dla kobiet szczególnie znacząco, bo o pięć lat, dla mężczyzn o dwa lata.

Świadomość zagrożeń, jakie niesie za sobą praca do późnej starości, budziła i wciąż budzi opory społeczne na tyle silne i skuteczne zarazem, że startujący w kolejnych wyborach parlamentarnych PiS włączył je w swój program, słusznie przewidując, że zyska w ten sposób stosowną większość, by przejąć władzę w Polsce. O tym, że podbudowa każdego programu politycznego sprawami socjalnymi (słynne 500 plus) i oparcie go o podstawy trwałego - utrwalonego w ostatnim czasie przez papieża Polaka - katolicyzmu narodowego, może

zagwarantować mu zwrot w dotychczasowej polityce kraju, przekonywać nie muszą. Bystrzy analitycy współpracujący z politykami PiS potrafili to przewidzieć.

Polska, nie czarujmy się, do gospodarczych gigantów nie należy. Na wiele jeszcze nas nie stać, często marzenia nadal pozostają tylko marzeniami, a dobrobyt na miarę Zachodu mimo pozostawania w zasięgu ręki, jak przysłowiowa marchewka na kiju wciąż pozostaje nie do uchwycenia. Czy nas stać na wcześniejsze emerytury, do których ustawowo rząd PiS powrócił w połowie listopada, a realnie zapowiedział wejście ich od 1 października 2017 roku, to już inna sprawa. Wielu polityków uważa, w tym niemal cała opozycja parlamentarna, że nas nie stać. Zużyci pracą robotni-

Rysuje Zdzisław Opatko

OBYWATELE ROKU 2016



PRAWDZIWY PATRIOTA



DRUGI SORT



OBYWATEL WYKŁĘTY

cy dłużej będą cieszyć się swobodami płynącymi z wieku emerytalnego, ale za to będą ubożsi, trudno będzie im z tej rzekomej dobroci w pełni skorzystać.

Pracoholikami z przymusu politycznego zatem nie będziemy, ale czy z tego powodu będziemy szczęśliwi, przyszłość pokaże. Przyszłość ta byłaby zapewne bardziej pewna i dostatnia, gdyby nasi politycy grali do jednej bramki. Gdyby wspólnie jednocyli swe wysiłki w ustalaniu priorytetów gospodarczych i życia społecznego. Gdyby wspólnie chcieli angażować się w tworzenie majątku narodowego, rozwiązywanie spraw wagi państwowej dotyczących obrony narodowej, przemysłu, szkolnictwa, służby zdrowia itd. Gdyby więcej uwagi poświęcali zapobieganiu marnotrawienia funduszy unijnych... O rozkradaniu państwa już nie wspomnę, czego dowiodły afery prywatyzacyjne, bankowe, hazardowe, itp.

Póki co nie mamy w Polsce elit politycznych, którym bez reszty można by było zaufać. Wielu polityków, którzy po transformacji ustrojowej dostali się do Sejmu, Senatu, do władz samorządowych, traktuje politykę jako źródło własnych korzyści, możliwość urzędu na przyszłość siebie, rodziny i - często - znajomych z ugrupowania politycznego. Popadają w uzależnienie od polityki, które nakazuje sprawy narodowe i sprawy społeczne oceniać i traktować nie w kategoriach dobra ogółu, ale w kategoriach politycznych, to znaczy racji lub tylko założeń partii politycznej, ugrupowania, z którym się związali.

Z rozgoryczeniem piszę o tym, bo ostatnie miesiące br. dobitnie pokazały, jak daleko wzajemnie zwalczające się ugrupowania polityczne; to znaczy ci, co przed rokiem stracili władzę, i ci co ją przejęli, zapędziły się w kozi róg, jak głęboko cofnęły się do narożników ringowych we wzajemnym boksowaniu się na pomówienia i obelgi. Przeciętnemu wyborcy nie trudno jest dostrzec manipulacji propagandowych, wzajemnego potępienia się i niszczenia. Widać to przysłowiowym gołym okiem, wystarczy tylko codziennie obejrzeć wieczorem dwa kolejne dzienniki informacyjne: programu TVN i TVP1.

Świat się radykalizuje, radykalizuje się nasze społeczeństwo. Napastliwa polityka z którą na swych sztandarach idą politycy, musi budzić

opór. Budzi go nie tylko wśród przeciwników, ale i zdroworozsądkowej części społeczeństwa, które dotychczas ceniło sobie spokój. Radykalizowanie się młodzieży, chociażby pod hasłami narodowców, czy zwolenników przywracania tradycji narodowych z odwoływaniem się do żołnierzy wyklętych, ma też i tę negatywną stronę, że sieje chęć odwetu i zemsty, których nie ma współcześnie już wobec kogo kierować. Młodzież często tego nie rozumie, kierując je po prostu przeciwko przeciwnikom politycznym, co wydaje się być na rękę niektórym działaczom społecznym i politykom.

Kiedy piszę te słowa w Warszawie akurat odbywa się kolejny protest antyrządowy. Kilkunastotysięczny tłum rodziców, nauczycieli i związkowców sprzeciwia się zatwierdzonej przed kilkoma dniami przez Sejm ustawie likwidującej gimnazja i przywracającej stare zasady szkolnictwa średniego. W tym samym czasie stara się zwinąć swe rozproszone szeregi opozycja parlamentarna. Ponownie na swego przewodniczącego Kongres PSL w Jachrance pod Warszawą wybiera posła Kosiniaka - Kamysza, który ogłasza publicznie, że „posłowie Prawa i Sprawiedliwości to przebiegacy, a strój ludowy nie jest uszyty na ich miarę”. „Peeselowcy chcą być gospodarzami Polski, a nie niewolnikami, czy najemnikami władzy”.

SLD, to znaczy lewica ściąga posiłki spośród starych, wydawałoby się wypalonych już polityków. Ktoś z boku kamer dziennikarskich podpowiada, że liczy się każdy człowiek, każdy głos w walce z PiS-em, z jego decyzjami sprawczymi mijającego akurat roku rządów w kraju.

Już nie z boku kamer, ale oficjalnie na wiecach, publicznie, były prezydent Bronisław Komorowski nawołuje do... walki na sztachety. Były prezes Trybunału Konstytucyjnego, mecenas Stępień wygłasza teorię o potrzebie użycia wobec rządzących siły, twierdząc, że „gdy zawodzi prawo, należy użyć pięści”. W ślad za nimi idą zresztą inni politycy i działacze KOD oraz Nowoczesnej.

Jak nienaturalnie zderza się to wszystko z drugim obliczem Polski, Polski katolickiej, która z okazji tegorocznego święta niepodległości radowała się z otwarcia w Warszawie-Wilanowie Świątyni Opatrzności Bożej, a 19 listopada br. w Krakowie-Ła-

giewnikach dokonała kolejnego historycznego Aktu Przyjęcia Jezusa za Króla i Pana.

Czy to kres demokracji klasycznej? Demokracji, w której nawet nieznaczna większość (51 proc.) „wybrańców narodu” zawłaszcza sobie wszystkie prawa do decydowania o wszystkim. Czy tak powinna wyglądać współczesna demokracja? Pół pokoju - pół wojny, pół bogactwa - pół biedy. Pół zła - pół dobra, pół prawdy - pół kłamstwa?...

Ostatnie wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych ujawniły, że nawet w skali takiego mocarstwa światowego, jakim jest Ameryka, prawdziwa klasyczna demokracja schodzi na psy, praktycznie już nie istnieje. Nie było dotychczas w historii Ameryki tak ostrej, a zarazem plugawej i brzydkiej kampanii wyborczej, jak obecna, która przyniosła zwycięstwo republikanina, miliardera Donalda Trampa. Zwycięstwo nad demokratką, doświadczoną przecież polityk i żoną byłego prezydenta USA Hilary Clinton.

Tak, cóż to za demokracja, w której kandydaci na najwyższy urząd w państwie mogą stosować w kampanii wyborczej chwytły poniżej pasa, obnażać się wzajemnie z prywatności, uciekać do największych podłości w pomówieniach i oskarżeniach o wszystko, co tylko mediom brukowym i służbom specjalnym da się na ich temat wygrzebać w ich życiorysach, i przeszłości?

Cóż to za demokracja, jak jej sztandarowe hasła nowoczesności na miarę współczesnych czasów mają się do tego, że wszystkie formy walki są w polityce dozwolone?

Do czego prowadzą daleko posunięte uzależnienia od polityki, uzależnienia od żądz władzy i od manii posiadania wyłączności w decydowaniu o losach narodu, historia świata przykładów dostarczyła mnóstwo, znamy je wszyscy.

No cóż? Na zakończenie pozostaje mi jedynie życzyć naszym Czytelnikom w Nowym Roku więcej empatii ze strony polityków, więcej zrozumienia zagrożeń, jakie niosą kręte ścieżki współczesności i... jak najskuteczniejszych leków przywracających zdrowie zarówno nam znerwicowanym wyborcom, jak i naszej chorej demokracji.

Jan Smalewski
Naćmierz



Refleksja obrazoburcza

Czy pomoże nauczanie papieża Franciszka, który przypomina, że Kościół powinien być ubogi, skromny, pełen miłości, miłosierdzia i radości z życia, a państwo pozostawać świeckie?...

O to krótki szkic o tym, jak tzw. chrzest Polski w 966 roku przyczynił się do tragedii Słowian. Aktem „Dagome iudex” nazwanym tak od pierwszych słów tekstu, Mieszko I, jego żona Oda oraz dwóch synów: Mieszko i Lambert, powierzyli swoje ziemie Stolicy Apostolskiej. W średniowieczu była to rozpowszechniona czynność prawna zwana precaria oblata, polegająca na przeniesieniu praw do gruntu na wybraną osobę lub instytucję kościelną. Po jej dokonaniu ofiarodawca stawał się jedynie jego użytkownikiem. W „Dagome iudex” opisano państwo Mieszka I wraz z „przynależnościami”. Jak wynika z map i opisu, prawie w 80 procentach pokrywa się ono z dzisiejszymi granicami Polski...

Chrzest Polski, pomijając absurdalność tego określenia, był więc aktem poddania. Od tego zaczął się w Polsce na szeroką skalę proces chrystianizacji, zmuszanie Słowian do przyjęcia obcej wiary, religii i porządku prawnego, nie mający nic wspólnego z nauczaniem i postawą Jezusa z Nazaretu, do którego się odnoszono...

Słowianie bronili swoich wspólnot i ziem. Nie byli dzikim ludem. Mieli swój język, kulturę, obrzędy i zwyczaje. W ich systemie sprawowania przywództwa, władzy i zasad udziału w życiu społecznym, można

doszukać się załączków demokracji, co podkreśla wielu badaczy. Przecistawiali się obcemu wpływowi, który uderzał w ich wiarę i tradycję oraz rozbił ekonomicznie i dzielił społecznie. Zmuszono ich do rozproszenia się w lasach Pomorza, Żmudzi i Litwy. Mieszko I i jego piastowscy następcy nie mieli litości dla pobratymców i swojego ludu. Resztę pogromu dokonał Zakon Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego, specjalnie sprowadzony do Polski...

Wraz ze śmiercią Masława - legendarnego przywódcy Słowian na Mazowszu, który zginął w bitwie z wojskami Kazimierza Odnowiciela w 1047 roku, umarła nadzieja Słowian na niezależny byt w granicach swojego państwa.

Korzenie tożsamości narodowej i państwowości polskiej nie tkwią tylko, jak chcieliby niektórzy, w czasach chrystianizacji, ale sięgają głębiej - w kulturę i obyczaje Słowian, naszych przodków, którym odmawiano prawa do życia według własnej wiary i przekonań.

Również dzisiaj zakres i forma oddziaływania Kościoła pozostają w praktyce nieograniczone. I czy pomoże i coś zmieni tu nauczanie papieża Franciszka, który przypomina, że Kościół powinien być ubogi, skromny, pełen miłości, miłosierdzia i ra-

dości z życia, a państwo pozostawać świeckie?...

Tworzone są ustawy zezwalające na okrucieństwo wobec kobiet w niechcianej ciąży. Władze państwowe i kościelne, wręcz prześcigają się w wymyślaniu absurdalnych zakazów i nakazów regulujących najdrobniejsze fragmenty życia zbiorowego i osobistego. Na przykład, gdzie i kiedy robić zakupy?

W środku Europy, w dwudziestym pierwszym wieku, fanatyzm religijny znów odnosi triumfy: prawo świeckie zastępowane jest szariatem. Pozwoliliśmy na to. Gdy przypadkowo obejrzałem w TVP fragment tzw. uroczystości rocznicowych trudno mi było powstrzymać smutek i gorycz. Ileż ignorancji wobec prawdy historycznej, serwilizmu, hipokryzji, teatru absurdu?...

Dzięki takim pokazom rośnie we mnie poczucie wspólnoty ze słowiańskimi przodkami i całą słowiańszczyzną. Rośnie tęsknota za nie ideologizowanymi i nie fanatyzowanymi relacjami między ludźmi, umiejącymi cieszyć się wolnością, naturą i życiem szanującym inne byty.

I rośnie we mnie nadzieja, że kiedyś ludzkość uwolni się od paranoicznych, destrukcyjnych i pasożytniczych religii monoteistycznych.

Zdzisław Opalko, Słupsk

Niedźwiedzie wróciły



MP Technology - spółka ze Słupska została gospodarczym debiutem, spółka Markos z Głębina - najlepszą firmą dużą, a Mirosław Kamiński - prezes Pomorskiej Agencji Rozwoju Regionalnego S.A. - menedżerem słupskiej gospodarki 2016.

Tegoroczna, piętnasta już edycja konkursu „Srebrny Niedźwiedź - Lider Promocji Słupskiej Gospodarki” została zorganizowana dzięki zaangażowaniu głównie starosty słupskiego. Patronatem honorowym objęli ją Mieczysław Struk - marszałek województwa pomorskiego oraz Dariusz Drelich - wojewoda pomorski. Konkurs jest jedną z najważniejszych imprez gospodarczych w regionie słupskim, z początku organizowany był co roku, później z przerwami, od jakiegoś czasu odbywa się co dwa lata.

Warto przypomnieć, że zapoczątkowany został w 1998 roku, kiedy dobiegało końca województwo słupskie. Pierwsza jego edycja odbyła się w grudniu w słupskim teatrze „Rondo” i pierwsze statuetki „Srebrnego Niedźwiedzia” wręczali laureatom wówczas - kończący urządowanie wojewoda słupski Kazimierz Kuzyniak oraz ówczesny wojewoda pomorski Tomasz Sowiński.

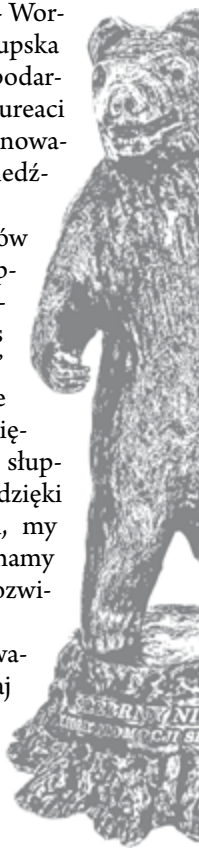
W tym roku firmy z regionu słupskiego rywalizowały w sześciu kategoriach: mikro i małe przedsiębiorstwa, średnie i duże przedsiębiorstwa, zakłady rzemieślnicze, gospodarstwa agroturystyczne, menedżer słupskiej

gospodarki i gospodarczy debiut. Oprócz wymienionych już głównych laureatów „Srebrnego Niedźwiedzia 2016”, na gali 18 listopada w słupskiej Filharmonii Sinfonia Baltica, pozostałymi laureatami zostali jeszcze: Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowo-Usługowe EKO-PLAST ze Słupska (mikro i małe przedsiębiorstwa), Piekarnia Wyrób i Sprzedaż Tadeusz Jakubowski ze Sławna (zakłady rzemieślnicze), Pokoje Gościnne Renata Knitter Komnino (gospodarstwa agroturystyczne). Nominowanymi w poszczególnych kategoriach zostali: Firma Kosmetyczna LOTON Spółdzielnia Pracy, Słupsk, Usteckie Towarzystwo Budownictwa Społecznego Sp. z o.o. (mikro i małe przedsiębiorstwa), M&S Pomorska Fabryka Okien Sp. z o.o. ze Słupska, Łosoś Sp. z o.o. z Włynkówka (średnie i duże przedsiębiorstwa), Zakład Mechaniki Pojazdowej J. i W. Kucharscy z Kobylnicy, ZPUH Amaretto Murawski Zbigniew ze Sławna (zakłady rzemieślnicze), Eniga Cafe & Beauty ze Słupska, Spółdzielnia Socjalna „RAZEM” z Kępic (gospodarczy debiut), Puk, Puk Eko i Zdrowe

Koła - Agnieszka Pajdo - Ruszczyńska z Gardny Wielkiej, „U Sikorki” - Iwona Sikora z Lubuczewa (gospodarstwa agroturystyczne), Arkadiusz Śmigieński - Optinav sp. z o.o. ze Słupska, Dominik Fryczyński - Worthington Industries ze Słupska (menedżer słupskiej gospodarki). Wszyscy główni laureaci otrzymali statuetki, a nominowani - plakiety „Srebrnego Niedźwiedzia 2016”.

Witając przedsiębiorców na gali starosta słupski Zdzisław Kołodziej-ski podkreślił, że konkurs „Srebrnego Niedźwiedzia” ma na celu uhonorowanie najlepszych firm i przedsiębiorców - menedżerów słupskiej gospodarki. - Bo to dzięki rozwojowi Waszych firm, my również jako samorządy mamy okazję się wzmacniać i rozwijać - mówił starosta.

- To wasza gala, to wasze święto. Chcemy dzisiaj fetować to, że odnosicie sukcesy, które czynią dobro ziemi słupskiej - po-



wiedział też Marek Biernacki - wiceprezydent Słupska. - To dzięki wam tworzone są i utrzymywane miejsca pracy. To dzięki waszej pracy możemy mieć większe dochody w naszych samorządowych budżetach. Za to wam dzisiaj wielkie dzięki.

- Jako przedsiębiorcy tworzymy miejsca pracy, mamy duży wpływ na rozwój naszego regionu czy kraju. Dlatego dzisiaj z okazji naszej uroczystości wręczenia „Srebrnych Niedźwiedzi”, ja również chciałbym podziękować władzom samorządowym za to, że nas, przedsiębiorców doceniają i współpracują z nami - powiedział z kolei Jan Czechowicz, prezes Słupskiej Izby Przemysłowo-Handlowej na Region Słupski. Dodął: - Z roku na rok ta współpraca jest coraz lepsza.

Kazimierz Kleina, senator RP: - Miałem to szczęście, że byłem przy pierwszej gali w 1998 roku. Wielu z państwa także w niej uczestniczyło i trzeba powiedzieć, jak bardzo wszyscy zmieniliśmy się przez te osiemnaście lat, jak zmienił się nasz region, jak zmieniła się Polska, jak zmieniło się wszystko wokół nas, jak dojrzały i wzmocniły się przedsiębiorstwa, działające w naszym regionie. Gala „Srebrnych Niedźwiedzi” zawsze była okazją do prezentowania naprawdę silnych, dobrych przedsiębiorców. Zdecydowana większość tych firm, które zostały uhonorowane w poprzednich edycjach, do dzisiaj dobrze funkcjonuje i dobrze się rozwija. Myślę, że jest to dowód na to, że rzeczywiście warto konsekwentnie i spokojnie inwestować we własne firmy, własną przedsiębiorczość. Nasza rola, wszystkich polityków i samorządowców, jest taka, aby wspierać te firmy.

Znaczenie słupskiej gali podkreślił także wicewojewoda Mariusz Łuczyk: - Światowy Tydzień Przedsiębiorczości to dobry moment, żeby uhonorować najlepszych przedsiębiorców naszego regionu. Wspierała inicjatywa, która wspiera także rząd pani premier Beaty Szydło. My przecież cały czas mówimy o rozwoju przedsiębiorczości, innowacyjności, rozwoju mikro, małych, średnich, a także dużych firm. Państwo jesteście solą tej ziemi, solą przedsiębiorczości. Liczę, że za państwa przykładem inni w naszym regionie też będą się rozwijać. Gra-

tuluję pomysłu konkursu Lider Promocji Słupskiej Gospodarki „Srebrny Niedźwiedź 2016”. Jest to naprawdę świetna inicjatywa dla rozwoju przedsiębiorczości i tego życzę naszemu regionowi, ziemi słupskiej.

Statuetki i plakiety wręczali: Zdzisław Kołodziejski - starosta słupski, Mariusz Łuczyk - wicewojewoda pomorski, Marek Biernacki - wiceprezydent Słupska, Jan Czechowicz - prezes Słupskiej Izby Przemysłowo-Handlowej na Region Słupski, Roman Hennig - starszy Cechu Rzemiosł Różnych w Słupsku oraz Tadeusz Bruzda - prezes Rady Regionalnej FSN-T NOT w Słupsku.

Galę wręczenia statuetek i wyróżnień uświetnił koncert Orkiestry Polskiej Filharmonii Sinfonia Baltica pt. „Legends muzyki pop symfonicz-

stwo Gospodarki Komunalnej, EN-GIE EC i Wodociągi. Następnie odbył się panel dyskusyjny na temat wyzwań współczesnej gospodarki komunalnej w regionie słupskim, w którym udział wzięli eksperci z tej dziedziny. Uczestnikom tematycznego konkursu dla szkół ponadgimnazjalnych z powiatu słupskiego wręczono nagrody. Forum objęło patronatem honorowym także Mieczysław Struk - marszałek województwa pomorskiego i Dariusz Drelich - wojewoda pomorski.

Czym zajmują się tegoroczni główni laureaci „Srebrnego Niedźwiedzia”? Działające od 1997 roku PPHU „EKO-PLAST” (mikro i małe przedsiębiorstwa) współpracuje z renomowanymi producentami z całego świata w zakresie węży i złączy przemysłowych oraz hydrauliki siłowej. Sprze-



nie”. Przebojowy program przeniósł uczestników gali w świat muzyki lat 70-tych, 80-tych i 90-tych.

Před uroczystą galą w Słupskim Inkubatorze Przedsiębiorczości odbyło się Forum Gospodarcze. W pierwszej części odbyła się konferencja poświęcona gospodarce komunalnej - dziś i jutro. Zaprezentowały się słupskie firmy komunalne: Miejski Zakład Komunikacji, Przedsiębior-

daje takie profesjonalne rozwiązania, zajmuje się remontami i modernizacją układów oraz instalacji hydrauliki siłowej oraz prowadzi bezpośrednią sprzedaż i serwis przewodów hydraulicznych. Montuje klimatyzacje w pomieszczeniach biurowych oraz systemy wentylacyjne w magazynach i halach produkcyjnych.

Markos Sp. z o.o. (średnie i duże przedsiębiorstwa) to światowej klasy

producent wyrobów kompozytowych. Działa od 1991 roku i specjalizuje się w technologii próżniowej infuzji żywicy, procesach laminowania ręcznego, technologii worka próżniowego, a także w procesach form zamkniętych. Głównymi jego produktami są osłony elektrowni wiatrowych, szybkie łodzie motorowe, ratunkowe, ratownicze i rekreacyjne oraz części jachtów żaglowych lub motorowych, szeroka gama innych wyrobów z laminatu.

Z kolei MP Technology Sp. z o.o. (gospodarczy debiut) jest dostawcą profesjonalnych rozwiązań w zakresie zarządzania transportem miejskim i kolejowym z wykorzystaniem najnowocześniejszych narzędzi informatycznych i sprzętowych. Wdrożyła na polski rynek m.in. najnowocześniejsze tablice wysokiej rozdzielczości wykonane w technologii LED RGB. Działa od 2014 roku.

Piekarnia Wyrobów i Sprzedaż Tadeusz Jakubowski ze Sławna - główny laureat w kategorii zakład rzemieślniczy powstała w 1993 roku i na początku zajmowała się głównie produkcją pieczywa na potrzeby okolicznych sklepów. Dziś jest nowoczesnym przedsiębiorstwem, ma w swojej ofercie ponad sto rodzajów pieczywa i prawie dwa razy tyle wyrobów cukierniczych produkowanych tylko z naturalnych składników, bez polepszaczy i konserwantów.

Menedżer roku 2016 Mirosław Kamiński - prezes Zarządu Pomorskiej Agencji Rozwoju Regionalnego S.A. w Słupsku to absolwent Politechniki Gdańskiej. Od 2005 roku zarządza pomorską agencją zajmującą się rozwojem regionalnym, Słupską Specjalną Strefą Ekonomiczną i Słupskim Inkubatorem Technologicznym. Jest m.in. członkiem Prezydium Rady Przedsiębiorczości oraz Komitetu Sterującego ds. Innowacji przy Marszałku Województwa Pomorskiego oraz Rady Gospodarczej przy Prezydencie Miasta Słupska, a także autorem publikacji z zakresu funkcjonowania struktur rynkowych w Polsce oraz sporządzania studium wykonalności pod projekty finansowe z funduszy unijnych.

Anna Czunikin von Krasowicki
Mariusz Smoliński, Słupsk

Uśmiechając się tajemniczo uścisnęłam je serdecznie. Starszy syn Tomek od razu zauważył moją tajemniczą minę i spytał, jaką mam niespodziankę. Nie czekając na moją odpowiedź, zaczął rozpakowywać zakupy z trudem zrobione przeze mnie po pracy. Wyjął parówki, puszki z mieloną tyrolską, pasztet mazowiecki i dwa paprykarze. Uśmiech na jego buzi ukazał się dopiero, gdy wyciągnął kilka torebek oranżady w proszku i woreczki ze słomkami. O dwa lata młodszy Wojtek zajął się rozrywaniem szarej torebki z lodami Bambino. - Mamusiu, co to za święto, że kupiłaś tyle pyszności? - zapytał nie odrywając się od odwijania już miękkich lodów.

Z triumfalnym uśmiechem wyciągnęłam z torebki skierowanie z zakładu pracy MHD i pomachałam nim nad główkami synów, jednocześnie głośno oznajmiając. - Jedziemy w lipcu całą rodziną na wczasy! Wczasy pod gruszą - dodałam po chwili, aby wszystko było jasne. Wojtuś już obliżywał paluszki po kapiących lodach, gdy zapytał: - A jabłuszka też tam będą? - Będą, będą, i mleczko od krówki, i serek, a może i jajeczka od kurek - odparłam rozmarzona.

W czasach PRL takie skierowanie było szczytem marzeń rodziców. Ja mieszcza, która w dzieciństwie wychowywałam się jakiś czas przy dziadkach na chłopo-robotniczym przedmieściu Gdyni, marzyłam od dawna, aby zabrać swoje pociechy na wakacje na wieś. Chodziło nie tylko o świeże powietrze dla małych mieszcuchów, ale i zmianę w ich żywieniu.

Zanim ostatni neseser wylądował na bagażniku naszego malucha - Fiata 126p, przygotowania i pakowanie trwało przez pięć dni. Czekala nas podróż prawie przez całą Polskę. Oprócz sporego bagażu i zapasów jedzenia na drogę, nasz „maluszek” bez większego problemu pomieścił cztery osoby. - Przynajmniej tak mnie, szczęśliwej kobiecie się wydawało. A potem, zmęczeniu potwornie, ale szczęśliwi, że po dwunastu godzinach jazdy jesteśmy u celu, dotarliśmy do wsi Krajniki w województwie lubelskim.

W gościnnym gospodarstwie państwa Jakuszyńów zakwaterowano nas w jednym z czterech pawilonów, wykonanych z dykty laminowanej i znajdujących się w tylnej części ich pięknego sadu. Luksusem i wielką frajdą była łazienka pod chmurką, gdzie wczasowicze myli się w długim

Bakcyl rodem z PRL

Na moim kartkowym kalendarzu wiszącym w kuchni widniała data 27 czerwca 1975. Wróciłam z pracy do domu grubo po siedemnastej. Odebrane przez babcię z przedszkola dzieci przywitały mnie już w progu, chwytając za parcianą torbę z zakupami.



korytku z pięcioma kranami. Nikomu też na myśl nie przyszło, by narzekać, że trzeba chodzić do jednego wspólnego wychodka, położonego z dala od pawilonów.

Wyposażenie pokoju w pawilonie też było bardzo skromne. Uradowani, że wreszcie jesteśmy na wymarzonych wakacjach i tak cieszyliśmy się ze wszystkiego. Do pełnego szczęścia wystarczyło nam pobliskie jezioro pełne ryb, dziurawa kładka, na której mąż z synami rozłożyli zaraz zakupione wcześniej wędki, no i las ze świeżym, pachnącym żywicą powietrzem. To, iż zapach ten mieszał się czasami z zapachem rosnącego schabowego, dochodzącym z gospodarskich chlewików, też nam nie przeszkadzało.

Samochód gospodarze pozwolili trzymać nam na podwórku, obok ich ciężkiego Zetora - ciągnika rolnego. Oczywiście okryliśmy go starannie specjalnym pokrowcem z postanowieniem, że dla zdrowia chodzimy pieszo.

Do sklepu oddalonego o osiem kilometrów jeździło się wypożyczonym od gospodarza rowerem; starą damką pamiętającą chyba jeszcze czasy II wojny światowej. Rower był jeden na całe gospodarstwo, więc jeździliśmy na zmianę z pozostałymi letnikami. Zazwyczaj po zwyczajną kielbasę na ognisko i piwo. Chlebuś i mleko mieliśmy jako gościniec od państwa Jakuszyńów. Gospodyni chleb wyrabiała osobiście i piekla go, czasami z naszym udziałem, w chlebowym piecu na podwórku.

Ulubionym daniem moich chłopców od razu stały się ziemniaki z sadzonym jajkiem i zsiadłym mlekiem z ciężkiego garnka zwanego gliniakiem.

Późnym wieczorem, gdy żaby rozpoczynały swój koncert, a dzieci mocno już spały, siadaliśmy wraz z innymi letnikami przy ognisku, piekąc chleb i kielbasę na patykach, popijając piwo.

Ten pierwszy wyjazd mojej rodziny na wczasy pod gruszą stał się załóż-

kiem późniejszej, wielkiej pasji niesienia pomocy zwierzętom, a następnie - po zmianie systemu funkcjonowania agroturystyki w roku 1983 - podjęcia się jej prowadzenia również przeze mnie.

Minęło piętnaście lat, gdy wraz z dorastającymi synami i czteroletnią córką podjęłam decyzję o emigracji z miasta na wieś. Wieś Dymno w powiecie człuchowskim wydawała się nam wymarzonym miejscem na ziemi. Gospodarstwo, jakie obejrzelśmy z zamysłem realizacji swego planu, było podobne do tego, gdzie pierwszy raz (u państwa Jakuszyńów) zetknęliśmy się z agroturystyką. - Tak, tu będę mogła realizować swoje marzenia - pomyślałam od razu i z zapalem wzięłam się do pracy.

Jestem absolwentką Akademii Rolniczej w Szczecinie, gdzie ukończyłam Wydział Zootechniki. Choć jestem rodowitą gdynianką, zawsze ciągnęło mnie na wieś. W dzierżawę wieczystą przejęłam gospodarstwo rolne do kapitalnego remontu po byłym PGR Koczała wraz z czternastoma domkami kempingowymi typu „beczka”. Te dziwolagi zostały postawione przez Hutę Ołowiu i Cynku BOLESŁAW z Bolesławca w roku 1969. Czekala mnie i moją rodzinę ciężka harówka.

Oprócz dającej mi dużo satysfakcji pracy, mogłam się realizować w swoim hobby. Podjęłam się hodowli ptaków ozdobnych i prowadzenia przytuliska dla zwierząt leśnych wymagających opieki z tytułu złego stanu zdrowia, czy też maluchów osieroconych przez ginące matki, przeważnie dzików i saren.

Cieszyłam się z każdego wyremontowanego i oddanego na cele agroturystyczne pomieszczenia. Wybudowaliśmy nowy, piękny pomost na jeziorze Dymno wraz z przystanią dla łódek i rowerków wodnych. W drugim roku funkcjonowania naszego gospodarstwa oddałam do użytku wyremontowaną starą stodołę - z przystosowaniem na stołówkę i kuchnię dla letników, na sto osób.

Z roku na rok przybywało nam gości z całej Polski i z zagranicy. Moją dumą jednak był głównie zwierzyniec składający się z ptaków ozdobnych, takich jak różne rasy kur i gęsi, pawie, bażanty, oraz saren i dzików. Każde zwierzę czy ptak miało swoją odrębną historię i przyczynę znalezienia się w moim agroturystycznym gospodar-



Fot. J. Maziejuk

stwie o wdzięcznej nazwie „Jaworowy Dwór”.

Dziczki Lolek i Bolek - śliczne trzy lub czterodniowe pasiaکی zostały przyniesione rano 18 sierpnia w pudełku po butach przez wystraszonego Antka Grzesiowiaka, kombajniste ze wsi Karżcino, który rano o czwartej kosząc zboże, znalazł je w bruzdzie na ściernisku. Skulone dwa ciała z przestachu nie dawały oznak życia. Maluchy były bardzo przestraszone i opuszczone nie wiadomo z jakiej przyczyny przez lochę - ich matkę. Instynkt zachowawczy kazał im leżeć bez ruchu. Dla mnie to była sprawa oczywista, ale pan Antek był bardziej przerażony od nich, obawiając się, że leśniczy będzie dochodził, co stało się z matką i ewentualnie co zrobił z mięsem. Na jego to polecenie zresztą kazał dziczki oddać pod moją opiekę, do czasu gdy będzie mogło je przyjąć nadleśnictwo. Ja też nie bardzo wiedziałam, skąd wzięły się takie maluchy w sierpniu. Być może pochodziły z wykotu młodej loszki. W tym momencie było to już jednak nieważne, należało troskliwie ją zastąpić.

Maluchami zajęłam się natychmiast, gdyż - o ile chodziło o ich jeszcze kruche życie - każda godzina była na wagę złota. Zaczęła się harówka karmienia co dwie godziny sztucznym pokarmem dla prosiąt i pojenie rozcieńczonym wodą 1:1 mlekiem. Musiałam też zająć się masowaniem ich brzusczków, dwanaście razy na dobę przez pierwszy miesiąc.

Najgorsze były pierwsze dwie doby. Dziczki przeżyły, a ja nabrałam pewności, że mój wysiłek może przynieść oczekiwane skutki. Ani ja, ani one nie poddawałyśmy się. Zamieszkaliśmy w kuchni, śpiąc na łóżku położymy z nastawionym budzikiem.

Zawiązująca się więź między tymi małymi pasiastymi terrorystami w specjalnie wykonanej przez konserwatora Janka Fryzowskiego skrzynecze, i ze mną, była coraz mocniejsza. Rosła ich siła walki o życie. Wspieraliśmy się nawzajem. Żeby mnie nie zniechęcić, dziczki odwdzięczały się każdym przybranym gramem ciężaru ciała i brakiem biegunki, nagradzając w ten sposób brakujący sen i zmęczenie.

Po miesiącu, gdy same zaczęły jeść z miski, odczułam wielką radość. Zamieszkały wtedy w specjalnie wybudowanej dla nich chatce w zagrodzie. Zaczęłam chodzić z nimi na spacer po lesie, aby kiedyś mo-

gły powrócić do swojego naturalnego środowiska.

Październikowy spacer z Bolkiem i Lolkiem zapamiętałam najbardziej. Komary cięły nad jeziorem bez litości. Warchlaki buszowały beztrudno wokół leszczyny, gdy zmęczona postanowiłam zrobić sobie odpoczynek i przysiadłam na pniu ściętego buka. Bolek zabawiał się jakimś ptakiem, próbując go przeganiać z miejsca na miejsce i strasząc głośnym chrupaniem, a Lolek buchtował, poszukując pod opadającymi liśćmi czegoś na przekąskę.

Pamiętam jak szczęśliwa rozglądałam się za czymś szczególnym, co byłoby godne uwiecznienia na zdjęciu, gdy nagle z lewej strony lasu ujrzałam zbliżające się powoli dwa jelenie. Zamarłam w bezruchu, zdając sobie sprawę z sytuacji, w jakiej za chwilę mogłam się znaleźć. Jelenie jednak, nie spłoszone ruchem ani hałasem, jaki robiły warchlaki, podeszły na odległość około pięciu metrów i najspokojniej w świecie rozpoczęły soczystą kolację. Pasły się tak przez kilka minut.

Kiedy zrozumiałam, że nic mi nie grozi, ustawiłam aparat i wykonałam sesję zdjęciową całej piątce leśnych przyjaciół. Po raz pierwszy ja, przybrana dzicza matka mogłam podziwiać z tak bliska jelenie. Całe ich przepiękne poroża w scypule, zupełnie nowe miękkie zamszowe cacka. Dla nich moja obecność była czymś naturalnym, nie niosącym żadnego zagrożenia życia. Do zagrody z Bolkiem i Lolkiem wróciliśmy o zmierzchu.

W listopadzie „moje chłopaki”, jak ich nazywałam, zostały odwiezione do Nadleśnictwa Miastko, gdzie postanowiono uczynić z nich reproduktorów przy krzyżówkach świniodzików. Zostały mi tylko wspomnienia i zdjęcia.

Wczasowicze, widząc moje zaangażowanie w hodowlę pięknych ptaków, jakimi były pawie, w podziękowaniu za miłe spędzony wypoczynek i dobrą kuchnię w naszym gospodarstwie agroturystycznym, przywozili mi w prezencie coraz to nowe rasy kurek, kaczek i gęsi. Kiedyś otrzymałam od pana Karola z Mazur dziesięć jaj do wylęgu gęsi. Jakie było moje zdziwienie, gdy z jednego opornego jaja wylęgło się pisklę daleko odbiegające wyglądem od piskląt gęsi. Małe, szare, pomarszczone, bez okrywy strasydło, podobne było do praptaka o nie-

proporcjonalnym dziobie i nogach. Po oględzinach ze znajomym leśniczym, zgodnie stwierdziliśmy, że jest to pisklę czapli siwej. Pisklęta tego gatunku są nie do uratowania.

Postanowiłam jednak spróbować, z góry przyjmując, że mój wysiłek pójdzie na marne. W pobliskim gospodarstwie rybackim zamówiłam małe, świeże rybki uklei i płotek, aby po zmieleniu na płaskiej łopacie drewnianej, spróbować karmić nimi zielono-szare strasydło.

Budka po psie wymoszczona gęsim puchem ustawiona została przy trzcinach. Miała spełniać rolę zastępczego gniazda. Każdy dzień przeżyty przez czapkę Teklę (tak ją nazywałam) był dokumentowany przez wczasowiczów, zwłaszcza wędkarzy, którzy z biegiem rosnącego apetytu pisklęcia dostarczali mi dla niego świeże, żywe rybki. Sama nie mogłam uwierzyć w mój sukces, obserwując rozwój tego piękniejszego z dnia na dzień i przypominającego wielkością bociana, ptaka.

Tekla, pomimo że żyła prawie jak w środowisku naturalnym, bardzo niechętnie oddalała się od gospodarstwa. Całymi dniami potrafiła stać na słupku pobliskiego ogrodzenia przystani wodnej, w zastygłej w bezruchu pozie, czekając na codzienną porcję ryb. Pewnego jesiennego poranka jednak odleciała. Zima była łagodna więc może wróciła w swoje rodzinne strony na zachodnie jeziora. Poranną porcję ryb dla Tekli tego dnia usmażyłam sama, wypijając lampkę białego wina za jej powodzenie.

Moje dzieci dorastały, i podobnie jak ptaki opuszczały swoje gniazdo. Podobnie jak ja, wraz ze swoimi nowymi rodzinami, zajmując się również agroturystyką. Zostałam sama z mężem. Jednak nadal z niesłabnącą chęcią pracy w agroturystyce. Z roku na rok odczuwaliśmy większe zmęczenie. Musieliśmy z bólem serca sprzedać to nasze pierwsze gospodarstwo i osiedlić się w mieście (Siemianicach). Na krótko jednak, bo jak mówią „ciągnie wilka do lasu”. W 2010 roku wyładowaliśmy w Naćmierzu, gdzie rozpoczęła się nowa nasza przygoda, tym razem z agroturystyką nad morzem. Nasze nowe gospodarstwo nazwaliśmy „Magnolia”. Decyzji zmiany nie żałujemy, bo tu również jest pięknie, a moje wspomnienia zapisują inny klimat i przyroda.

Zofia Maria Smalewska, Naćmierz

Polskie smaki

Chroniąc oraz promując produkty regionalne i tradycyjne, chroni się także dziedzictwo kulturowe wsi, co w dużym stopniu przyczynia się do zwiększenia atrakcyjności terenów wiejskich, rozwoju turystyki i agroturystyki wiejskiej.



Fot. J. Maziejuk

Zdobywanie pożywienia, jego przetwarzanie i spożywanie to podstawa ludzkiej aktywności. Poza zaspokajaniem głodu, pożywienie stanowi kanon potraw. Niektóre były powodem nadawania przezwisk. Niemców często nazywano „kartoflarzami”, jako że koloniści w XVIII wieku wprowadzili kartofle do pożywienia, a Polacy się nimi brzydzili i uznawali nawet za szkodliwe dla zdrowia.

Na początku XIX wieku, właśnie te same ziemniaki stały się podstawowym pożywieniem polskiej ludności. Włosi to „makaroniarze”, bo zjadają sporo makaronu. Francuzi to „żabojadzy”, bo jedzą żaby i ślimaki, a wśród ludności polskiej jedzenie ich przez wiele lat stanowiło tabu.

We współczesnej kulturze nie doświadcza się na co dzień smakowania, degustowania i celebrowania podania potraw. Metodą jest szybkie życie i szybkie jedzenie. Współcześnie już nie smakujemy, lecz wyłącznie konsumu-

jemy. I pewnie dlatego jedzenie stało się jedną z atrakcji turystycznych.

Współczesny turysta oczekuje wciąż nowych ofert kulinarnych, produktów z „babczynie spizarni”. Związane jest to z poszukiwaniem tożsamości i korzeni kulturowych, ale też z chęcią zasmakowania dobrych potraw. Dzisiejszy turysta postrzega nowe miejsca nie tylko poprzez pryzmat walorów przyrodniczych i antropogenicznych, ale coraz częściej zauważa też i zapamiętuje smaki oraz aromaty potraw, które są charakterystyczne dla odwiedzanego regionu lub miejscowości.

Kultura kulinarna kształtowała się na przestrzeni czasu, modyfikując różne wpływy jest odbiciem doświadczeń, losów historycznych grup etnicznych i całych narodów. Pomorze nie było regionem jednolitym kulturowo. Świadczy o tym różnorodność architektoniczna budownictwa, rękodzielo ludowe, ubiory, pieśni, tań-

ce oraz kuchnia rozumiana jako zbiór potraw, sposób ich przyrządzania i podawania. To koloniści z Niemiec, Danii, Holandii, Skandynawii zmienili Pomorze w ciągu wieków pod względem kulturowym. A czy kulinarnym?

Po 1945 roku na Pomorze przybyła ludność z Kielecczyny, Białostockiego, Rzeszowskiego, Lubelskiego i dawnych Kresów Wschodnich. Doszło do wymieszania się kultur. Nie istnieje jedna zbiorcza definicja produktów regionalnych czy tradycyjnych. Humorystycznie można stwierdzić, że każdy produkt jest wytwarzany w konkretnym regionie według tradycyjnej receptury swojego producenta. Można też uważać, że popularna w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku zapiekanka z pieczarkami jest bezapelacyjnie „produktem tradycyjnym”. Tylko czy na pewno?

Dziś wielu producentów żywności stara się przekonać nas - konsumentów, że ich produkty wytwarzane są według tradycyjnych, niezmiennych od wielu lat receptur. Stąd wysyp produktów o tak zachęcających nazwach, jak: „szynka babuni”, „polędwica chłopska” czy „chleb szlachecki”. Tymczasem w ich składzie można znaleźć soję, hydrolizaty, białko słonecznikowe, karagen czy trifosforany, które z całą pewnością nie były w powszechnym użyciu naszych babć.

Aby zapobiec nadużywaniu dobrze brzmiących przymiotników w nazywaniu produktów w Polsce, wprowadzono do życia ustawę z 17 grudnia 2004 roku o rejestracji i ochronie nazw i oznaczeń produktów rolnych i środków spożywczych oraz o produktach tradycyjnych. Porządkuje ona polski system produktów regionalnych i tradycyjnych. Zgodnie z jej zapisami, za tradycyjne uważa się produkty rolne i środki spożywcze oraz napoje spirytusowe, których jakość lub wyjątkowe cechy i właściwości, wynikają ze stosowania tradycyjnych metod produkcji. Za takie uważa się metody wykorzystywane od co najmniej dwudziestu pięciu lat, a za tradycyjne rasy i odmiany - te, które hodowano przed 1956 rokiem.

Produkt tradycyjny wytwarzany jest z lokalnych surowców rolnych, sadowniczych z wykorzystaniem rodzimych ras zwierząt i o którym informacja przekazywana są z pokolenia na pokolenie. Tradycyjna metoda może być zmodernizowana bez pogorszenia jakości produktu i przy zachowa-

niu końcowego efektu. Dla zachowania tradycyjnego charakteru produktu najważniejszy jest jego skład. Unowocześniona metoda wytwarzania może przyczynić się do zmniejszenia nakładu pracy, zwiększenia bezpieczeństwa i higieny produktu.

Produkt regionalny związany jest ze środowiskiem przyrodniczym danego obszaru, czyli z regionem, w którym jest wytwarzany. Przy czym nie musi być to region w sensie geograficznym. Może to być obszar, z którym związane jest wytwarzanie produktu.

Z kolei produkt lokalny to wyrob lub usługa, z którą utożsamia-

wpływających na zrównoważony rozwój obszarów wiejskich. Przyczynia się do różnicowania zatrudnienia, tworząc na wsiach pozarolnicze źródła utrzymania się ludzi oraz zwiększa ich dochody. Ma to ogromne znaczenie, w szczególności dla obszarów odległych lub o niekorzystnych warunkach gospodarowania, gdyż zapobiega się ich wyludnianiu. Chroniąc oraz promując produkty regionalne i tradycyjne, chroni się także dziedzictwo kulturowe wsi, co w dużym stopniu przyczynia się do zwiększenia atrakcyjności terenów wiejskich, rozwoju agroturystyki i turystyki wiejskiej.

Chroniona nazwa pochodzenia może być przyznana tylko takiemu produktowi, którego wszystkie surowce pochodzą z określonego obszaru i wszystkie fazy wytwarzania mają miejsce na tym obszarze. Takimi produktami są na przykład oscypek i bryndza podhalańska, związane z Podhalem, rasą owiec, sposobem i warunkami ich wypasu, jakością i rodzajem mleka, metodami wytwarzania sera, itp. Produkty te jako pierwsze z polskich zostały zarejestrowane przez Unię Europejską i mogą posługiwać się takim znakiem.

Inna nazwa - chronione oznaczenie geograficzne odnosi się do regionu, konkretnego miejsca wytworzenia produktu cieszącego się renomą, posiadającego specyficzne cechy i jakość. Takimi produktami są między innymi truskawka kaszubska i rogal świętomarciński.

Gwarantowana tradycyjna specjalność odnosi się do produktu, który musi być specyficzny, czyli posiadać cechę lub zespół cech odróżniających go od innych produktów i wytwarzany z użyciem tradycyjnych surowców, tradycyjnego składu lub tradycyjnej metody.

Zarejestrowanie nazwy produktu rolnego lub środka spożywczego jako oznaczenia geograficznego, nazwy pochodzenia lub gwarantowanej tradycyjnej specjalności zapewnia, że nikt na terenie Polski oraz całej Unii Europejskiej nie może bezprawnie używać jej w obrocie. Przyznanie oznaczenia chroni producentów przed nieuprawnionym wykorzystywaniem nazwy produktu. Pozwala na podkreślenie jego unikalności i umożliwia konkurencję na rynku.

Umieszczenie znaku graficznego na opakowaniu powoduje, że produkt staje się rozpoznawalny dla milionów konsumentów świadomych jego wysokiej jakości i unikalności. W 2015 roku Polska z 38 zarejestrowanymi regionalnymi produktami zajmowała ósme miejsce w Europie. Wśród zarejestrowanych produktów jest m.in. kaszubska truskawka. Najwięcej smakolek z unijnym certyfikatem mają Włochy, Francja i Hiszpania. Województwo pomorskie na koniec sierpnia br. ze 174 produktami tradycyjnymi zajmowało trzecie miejsce w Polsce po województwie małopolskim (180) i podkarpackim (212). W Pomorskiem większość produktów związana jest z powiatami: kartuskim,



ją się mieszkańcy regionu. Nie może być produkowany w sposób przemysłowy i masowy. Do jego wytwarzania mogą być wykorzystywane surowce lokalne oraz miejscowe metody. Dla mieszkańców regionu jest produktem codziennym, pospolitym, a dla osób z zewnątrz stanowi coś wyjątkowego i specyficznego. Wytwarzany zazwyczaj jest przez małych producentów. Rozporządzenie Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi z 8 czerwca 2010 roku w sprawie szczegółowych warunków uznania działalności marginalnej, lokalnej i ograniczonej, precyzuje, że lokalny produkt może być sprzedawany „lokalnie”, czyli w województwie, gdzie został wytworzony i w powiatach przyległych.

System ochrony i promocji wyrobów regionalnych i tradycyjnych jest jednym z najważniejszych czynników

Realizowana w Unii Europejskiej polityka jakości daje pewność konsumentom, że kupują żywność bardzo wysokiej jakości, która jednocześnie charakteryzuje się wyjątkową, tradycyjną metodą produkcji. Identyfikację i wybór poszczególnych wyrobów ułatwiają oznaczenia geograficzne, nazwy pochodzenia oraz gwarantowane tradycyjne specjalności.

Pojęcie żywności tradycyjnej zostało wprowadzone rozporządzeniem Rady Wspólnoty Europejskiej nr 509/2006 - z 20 marca 2006 roku w sprawie produktów rolnych i środków spożywczych będących gwarantowanymi tradycyjnymi specjalnościami, a także nr 510/2006 - też z 20 marca 2006 roku w sprawie ochrony oznaczeń geograficznych i nazw pochodzenia produktów rolnych i środków spożywczych.

kościerskim, wejherowskim - z tymi gdzie ludność kaszubska i kociwska kultywuje tradycje.

Z powiatu słupskiego na liście zarejestrowanych produktów znalazły się zaledwie cztery: chleb słowiński, ser pleśniowy typu camembert Słupski Chłopczyk, pierogi dębnickie z jagnięcymi podrobami i nalewka Onisiówka. Dlaczego tak mało? Na to pytanie trzeba odpowiedzieć sobie samemu.

Regionalne czy lokalne dziedzictwo kulinarne jest szansą na rozwój przedsiębiorczości i zachowanie kultury ludowej. Powrót do tradycyjnych smaków, które wytwarzane są na wsi w unikatowy sposób, przyczynia się do zachowania tradycyjnych umiejętności kulinarnych, utrwalenia regionalnych zwyczajów żywieniowych i przede wszystkim umocnienia kulinarnego wizerunku. Tradycyjne i regionalne produkty żywnościowe mogą stać się ważnym czynnikiem wpływającym na rozwój i atrakcyjność gospodarstw agroturystycznych. Gospodarstwa te mogą dzięki nim niwelować skutki sezonowości turystycznej, przyciągając turystów poszukujących wrażeń kulinarnych. Ponadto rolnicy mają możliwość bezpośredniego wykorzystania i zbytu swoich produktów rolnych oraz przygotowanych przetworów.

W powiecie słupskim ważną rolę w poszukiwaniu starych receptur i przepisów sporządzania produktów lokalnych i tradycyjnych oraz w ich promocji odgrywa działalność Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach i Muzeum Kultury Ludowej Pomorza w Swołowie. Znacząca rola przypada również Ośrodkowi Doradztwa Rolniczego w Słupsku, który powinien jednak organizować więcej szkoleń dla członków stowarzyszeń agroturystycznych i małych producentów, chcących podjąć się wytwarzania produktów lokalnych czy tradycyjnych.

Przy okazji zbliżających się Świąt Bożonarodzeniowych, życzę aby na stołach królowały tylko potrawy tradycyjne w nazwie i składzie, a nie na przykład ryba po grecku obok pierogów ruskich, szuby czy śledzia po japońsku, bo to powszechne potrawy i nijak się mają do regionalnego nazewnictwa.

Joanna Orłowska, Słupsk

Wzmocnienie szkolnictwa zawodowego

Zarząd Województwa Pomorskiego przyznał powiatowi słupskiemu dofinansowanie na podniesienie jakości szkolnictwa zawodowego i dostosowanie do potrzeb rynku pracy.

Fot. Archiwum ZSA Słupsk

Dofinansowanie zostało przyznane ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju oraz Europejskiego Funduszu Społecznego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Pomorskiego na lata 2014-2020. Łączny jego koszt to 1 566 732 zł: 783 366 zł na podniesienie jakości szkolnictwa zawodowego poprzez utworzenie pracowni gastronomicznej oraz organizacji kursów i szkoleń z zakresu kształcenia ustawicznego, 617 758 zł - także na podniesienie jakości szkolnictwa zawodowego, ale poprzez dostosowanie oferty kształcenia zawodowego do potrzeb rynku pracy i zwiększenie zatrudnialności absolwentów szkół zawodowych. Umowy o dofinansowanie podpisane zostały 9 listopada br.

Łączny koszt realizacji projektów, razem ze środkami własnymi powiatu to ponad 1,6 mln złotych (941 843 zł i 686 397 zł). Pracownia gastronomiczna zostanie utworzona w Zespole Szkół Agrotechnicznych w Słupsku, wyposażone w sprzęt zostaną też inne pracownie w ZSA w Słupsku i Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Uście, który kształci również młodzież w zawodach technikalnych. Zakupiony sprzęt dołoży pracownię: gastronomiczną, architektury krajobrazu, hotelarską, ochrony środowiska i analityczną.

Jeden z projektów zakłada również przeprowadzenie kursów i szkoleń w ramach kształcenia ustawicznego,

m.in. z obsługi aparatury i sprzętu analitycznego, florystycznego, nauki jazdy ciągnikiem, architektury krajobrazu, obsługi programu AUTOCAD, podstawy przedsiębiorczości i prowadzenia działalności gospodarczej, języka angielskiego w branży gastronomicznej, carvingu, baristy, barmańskiego i nauki jazdy kat. B.

Wsparciem zostanie objętych 270 uczniów i 25 nauczycieli kształcenia zawodowego w trzech branżach kluczowych: turystyka, sport i rekreacja, środowisko i chemia lekka. Uczniowie objęci zostaną dodatkowymi stażami i praktykami zawodowymi realizowanymi u pracodawców, wykraczającymi poza podstawę programową, szkoleniami i kursami specjalistycznymi, zajęciami organizowanymi wspólnie z pracodawcami i uczelniami wyższymi, dodatkowymi zajęciami z języka angielskiego zawodowego, zaś nauczyciele - stażami, kursami i szkoleniami doskonalącymi, studiami podyplomowymi oraz siecią współpracy i samokształcenia.

Wsparciem objęci zostaną uczniowie kształcący się w zawodach: technik żywienia i usług gastronomicznych, kucharz, technik architektury krajobrazu, technik ochrony środowiska, technik analityk, technik i hotelarstwa oraz nauczyciele kształcący w tych zawodach. Program realizowany będzie przez dwa najbliższe lata, tj. w 2017 i 2018 roku.

**Aleksandra Krukowska-Szczur
Słupsk**

Przegląd wałów przeciwpowodziowych

W październiku br. pracownicy Zarządu Melioracji i Urzędzeń Wodnych Województwa Pomorskiego w Gdańsku – Oddziału w Słupsku oraz Wydziału Zarządzania Kryzysowego Starostwa Powiatowego w Słupsku dokonali okresowego przeglądu stanu technicznego wałów przeciwpowodziowych w powiecie słupskim. Okazało się, że stan większości wałów jest niezadawalający i może zagrażać bezpieczeństwu.



Skontrolowano wszystkie wały o łącznej długości ponad 83,6 tys. metrów, które chronią tereny o łącznej powierzchni 4,8 tys. ha. Skontrolowano odcinki wałów: lewego rzeki Broda-Osieki, jeziora Gardno, prawego kanału nr 7 w Duninowie, jeziora Modła, wstecznego lewego i prawego rzeki Pogorzeliczki, Strugi Łędowskiej, Błotnicy, wstecznego prawego Strugi Starkowskiej, wstecznego lewego i prawego Strugi Krzemienieckiej, prawego i lewego rzeki Grabownicy, lewego kanału Łupawa-Łeba, prawego i lewego kanału Gardna-Łeba, jeziora Gardno Retowo, prawego rzeki Brody-Osieki, wstecznego lewego i prawego Strugi Główniczkiej, Strugi Kłęcińskiej, prawego rzeki Łupawy, prawego rzeki Łupawy „Smoldzino”,

lewego jeziora Łebsko, prawego i lewego rzeki Łeby, prawego rzeki Łupawa w obiekcie Gardna, przyjeziornego jeziora Gardno w obiekcie Gardna, prawego i lewego rzeki Pustynki.

Kontrola wykazała, że odcinki wałów o łącznej długości około dwudziestu kilometrów są w dobrym stanie technicznym. Natomiast stan pozostałych odcinków określono jako mogący zagrażać bezpieczeństwu, jednak spełniają one swoje zadanie ochrony przeciwpowodziowej (brak przesiąków i przecieków).

Podczas przeglądów określono potrzeby w zakresie prac konserwacyjnych. Obejmują one głównie systematyczne koszenie traw oraz zabudowę wyrw i nor drążonych przez zwierzęta.

W związku z tym, iż znaczne odcinki wałów mogą zagrażać bezpieczeństwu, konieczna będzie ich przebudowa w celu zapewnienia właściwej ochrony przeciwpowodziowej. Odcinki tych wałów ujęto w wykazie inwestycji planowanych do realizacji w najbliższych czterech latach.

W wykazie tym ujęto m.in. wały przeciwpowodziowe znajdujące się na polderze Modła, (obwałowania jeziora Modła oraz jego dopływów), kanału Gardna-Łeba, Łupawa-Łeba, Strugi Łętowskiej, rzeki Pogorzeliczki, kanału nr 7 Duninowo, Strugi Krzemienieckiej i Strugi Sierakowskiej.

Dla wałów jeziora Modła opracowano już projekt ich przebudowy.

Jolanta Bubela, Słupsk

To nie tylko praca, to również misja

W 1996 roku państwo Rutkiewiczowie z dziećmi uznali, że skoro na kominie jest czynne gniazdo bocianie, nazwa pałacu „Pod bocianim gniazdem” przyniesie szczęście ich przedsięwzięciu. I stało się to szczęśliwą wróżbą.



Nasz nowy cykl „Współcześni ziemianie” wzbudził żywe zainteresowanie. Zarówno nasza redakcja, jak i sam otrzymałem sporo telefonów i esemesów od czytelników, których zaciekał temat i osoba Andrzeja Różyckiego. Myślę, że następni bohaterowie cyklu, rodzina Rutkiewiczów z Runowa Słupskiego spotka się z podobnym zainteresowaniem. Właściciel pałacu „Pod bocianim gniazdem” to Władysław Rutkiewicz-Nikorowicz oraz jego córka Marta i syn Jakub Rutkiewicz. Pałac ten to prawdziwy kombinat rozrywki w najlepszym tego słowa znaczeniu. Właściciele od dwudziestu lat prowadzą ośrodek kolonijno-wypoczynkowy z szeregiem atrakcji. Są place zabaw, boiska sportowe, drewniane domki letniskowe, jest wioska indiańska, park linowy i obozowisko namiotowe, gdzie organizuje się ciekawe zajęcia, jak chociażby tak modne ostatnio paintball.

Mówiąc o właścicielach zaznaczyć trzeba, że są nimi dzieci pana Władysława - Marta i Jakub. Ojciec przekazał im cały majątek z pełnym zaufaniem, gdyż pracują w Runowie od wielu lat i to pracują dobrze. Sam, usuwając się w cień, jest często na miejscu, bo jako fundator Fundacji „Bocianie gniazdo” w Runowie ma pełne ręce roboty. Różnorodna działalność rodziny Rutkiewiczów sprawia o zawrót głowy. Jak sobie radzą pozostanie ich tajemnicą. Poza tym, o czym wyżej napisałem, prowadzą całoroczny hotel w zabytkowym pałacu, otoczonym XIX-wiecznym parkiem, który przechodzi powoli renowację. Imają się też zajęciem chyba najbardziej poza rolą ziemiańskim - hodowlą koni. Mają ich trzydzieści pięć, a więc sporo. Konie mają piękną stajnię, są w dobrej kondycji, ujeżdżone i zadbane. Służą do całorocznej nauki jazdy - przede wszystkim dzieciom i młodzieży. Stajnia w Runowie



Fot. Archiwum J. Rutkiewicza

to również Certyfikowany Ośrodek Polskiego Związku Jeździeckiego.

Poza licznymi, pięknymi i malowniczymi trasami konnymi, ośrodek posiada krytą halę i profesjonalne parkury konne, (trasy konkursowe). Tak jest obecnie, a jak było dwadzieścia lat temu? W 1996 roku Władysław Rutkiewicz-Nikorowicz oraz jego żona

- znany radca prawny Maria Nikorowicz-Rutkiewicz (takie wspólne nazwiska przyjęli) wydzierżawili od Polskich Kolei Państwowych chylący się ku upadkowi ośrodek kolonijny, usytuowany w zabytkowym pałacu, który również był w złym stanie. PKP, których kondycja była też zła, po dziesięciu latach z ulgą sprzedały dzierżaw-



cy pałac z parkiem i otaczającymi go obiektami. Widziałem Runowo wtedy i teraz. Różnica jest bardzo duża. Pan Władysław kupił i wydzierżawił też około pięćdziesięciu hektarów ziemi, bo trawa, siano i zboże były potrzebne, aby utrzymać powstające stado wierzchowców. Sytuacja nowych właścicieli pałacu w Runowie jest inna niż pozostałych dużych rolników ziemi słupskiej. Oni działalność opierają na gospodarce rolnej, on zaś musiał utrzymać całą działalność, kontynuując pracę ośrodka kolonijnego. A trzeba było przecież spłacać kredyt zaciągnięty na zakup majątku, opłacić ludzi, remontować pałac i zabudowania gospodarcze, samemu też wraz z rodziną nie umrzeć z głodu.

Panu Władysławowi przydało się dotychczasowe doświadczenie zawodowe. Pracował w Koszalinie i Słupsku. Jest z zawodu weterynarzem, znał i zna wielu przedsiębiorczych ludzi, którzy chcieli korzystać z usług jego ośrodka. Przez pierwsze lata pomagała mu żona, która niestety zmarła w 1998 roku. Zastosował typową dla biznesmenów ucieczkę do przodu i się udało. Aż trudno uwierzyć, że podejmując tak szeroką działalność, umiał utrzymać wszystkie nitki w jednym sprawnym ręku. Miał też chyba dużo szczęścia, ale - jak mawiali starożytni Rzymianie - audaces fortuna iuvat (szczęście sprzyja odważnym).

Dziś właściciele Runowa mogą podsumować dwadzieścia lat swojej pracy. Pałac odrestaurowany w 2013 roku, park w stanie dobrym, stadnina świetnie utrzymana, coroczne kolonie i obozy, cały rok czynny hotel, okolicznościowe imprezy, w tym tak ważne, jak Ogólnopolskie Jeździeckie Mistrzostwa Kaszub. Miarą sukcesu pięknych, otoczonych wieloma atrakcjami mistrzostw niech będzie nagroda w piętnastej edycji ogólnopolskiego konkursu „Sposób na sukces”. Właściciele czekają na piąte mistrzostwa w 2017 roku. Senior cieszy się na te mistrzostwa również dlatego, że obie ukochane wnuczki - dziewięcioletnia Julia, córka Marty i dwunastoletnia Magda, córka Jakuba kochają jazdy konno i podobnie jak rodzice kiedyś i ją uprawiać. Może znowu zwyciężą?...

Od lat, zwiedzając wyjątkowo piękne okolice Runowa, zastanawiałem się, na ile na sukces rodziny Rutkiewiczów wpływ miała bardzo ciekawa historia tego miejsca. Bo przecież nieopodal znajduje się jedyne na Pomorzu tego znaczenia i wielkości grodzisko z IX wieku (30 hektarów) oraz rezerwat przyrody z unikalnymi dębami i bukami. Również historia samego pałacu i jego otoczenia jest niezwykła. Już w 1421 roku wzmiankowano o Runowie (nazwa podchodzi od runa leśnego lub skóry z wełną owiec) jako

lennie niemieckiej rodziny Grumbkov. Wiemy, że w 1690 roku Joachim Ernest von Grumbkov ufundował klasztor dla dwunastu ubogich panien ze stanu szlacheckiego i ośmiu ze stanu mieszczańskiego. Joachim Ernest był wybitną postacią wśród pomorskich junkrów pruskich. Był między innymi generalnym komisarzem wojennym oraz generałem. Zaś jego syn Friedrich Wilhelm von Grumbkov był premierem Prus w stopniu marszałka. Nawiasem mówiąc, Joachim





Fot. J. Maziejuk

Ernest rozpoczął budowę w 1687 roku nie istniejącego już pałacu w Łupawie. W 1779 w wyniku małżeństwa Runowo wraz z wieloma innymi majątkami przeszło w ręce rodziny von Bonin i pozostawało w nich do 1932 roku, aby następnie trafić do Puttkamerów z Barcina.

Historia okazałego pałacu nie jest do końca zbadana, ale jego klasycystyczny styl dowodzi XIX-wiecznego pochodzenia. Chociaż elementy samego budynku i jego wnętrza powsta-

ły na początku XX wieku, pewnym jest, iż Runowo wraz z Potęgowem, Darżynem, Kamienną, Węgierskim, Żychlinem należało do Łupawy, która była stolicą „państwa łupawskiego” rodziny von Bonin. Wśród wielu legend, bajek i opowieści związanych z pałacem jest historia prawdziwa z ostatnich czasów. W 1996 roku państwo Rutkiewiczowie wraz z dziećmi uznali, że skoro na kominie jest czynne gniazdo bocianie nazwa pałacu „Pod bocianim gniazdem” przyniesie szczęście ich przedsięwzięciu. I stało

się to szczęśliwą wróżbą, bo przecież bocian to obok orla nasz polski ptak narodowy, o którym tak pięknie pisał Norwid: „Do kraju tego, gdzie winą jest duża / Popsować gniazdo na gruszy bocianie, / Bo wszystkim służą... / Tęskno mi, Panie...” W trakcie remontu pałacu i zmianie konstrukcji komina właściciele nie popsuli gniazda, ale przenieśli koło na nowy komin, położyli na nim gałązki i bocian wrócił.

Trochę filozoficznie myślę, że tak zwane Genius Loci (duch opiekuńczy) jest żywy w tym pięknym



Fot. J. Maziejuk



Fot. J. Maziejuk

miejscu. A to w połączeniu z siłą woli, pracowitością właścicieli oraz ich współpracowników, (na stałe 16, w sezonie około 50) daje wspaniały efekt. No i przede wszystkim to, co powiedział mi junior Rutkiewicz: - Rodzina ma poczucie misji jaką jest wychowanie dzieci i młodzieży na zdrowych i dobrych Polaków.

Na zakończenie z przyjemnością podzielam pogląd Panów Zdzisława Kołodziejskiego - starosty słupskiego i Dawida Litwina - wójta gminy Potęgowo, że Runowo pod opiekuńczymi skrzydłami bociana jest dobrą wizytówką ziemi słupskiej. Trochę żartobliwie chcę też poinformować, że Rutkiewicz to nazwisko szlacheckie, ma herb staropolski Jastrzębiec. Państwo na Runowie są nowocześni i herbu nie używają, ale zawsze...

Maciej Kobyliński, Słupsk

Odszedł Jerzy Henke



Po cichutku (bez informacji o pogrzebie) odszedł Jerzy Henke, wielki miłośnik ziemi słupskiej, zasłużony numizmatyk, działacz strzelectwa, odkrywca historii, walczący o należny szacunek do niej, przyjaciel naszego pisma i powiatu słupskiego.

Odszedł człowiek niezmiernie odpowiadający, prawy, z bardzo pozytywnym nastawieniem do ludzi, niezależnie od ich narodowości i wad. - Niemcy nam, Polakom tyle wyrządzili zła, zamordowali mojego ojca w obozie, a ja upomniałem się o należną godność dla Niemca - słupszczyjanina. Upomniałem się, bo zasłużył na pamięć o sobie i na ogólny szacunek za to co zrobił dla ludzkości - mówił niejednokrotnie pan Jerzy.

Podkreślał, że nie było mu łatwo pogodzić się ze śmiercią ojca i z nieludzką przeszłością narodu niemieckiego. - Ale czy w imię doznanych krzywd, powinienem przekreślać człowieka, który tyle dobrego zrobił dla poczty światowej i ludzkości? - pytał.

Doceniono tę Jego niezwykłą szlachetność i podejście do ludzi, do Niemców, ich historii na ziemi słupskiej, na ziemi pomorskiej lub pruskiej

- jak kto woli. Podczas Międzynarodowej Wystawy Literatury Filatelistycznej w Moguncji otrzymał Medal Duży Srebrny za swoją książkę o Heinrichu von Stephanie - jednej z najwybitniejszych postaci ziemi słupskiej XIX wieku. O Stephanie, który zrobił wielką karierę od skromnego pracownika poczty do generalnego poczmistrza Cesarstwa Niemieckiego i ministra stanu w rządzie niemieckim. Sam go odkrył, poznał jego zasługi, przekonał się do nich i poświęcił tej jednej historycznej postaci dwadzieścia lat swego życia. Dwadzieścia lat własnych badań i poszukiwań wiadomości o nim. W rezultacie powstała książka, którą zatytułował „Heinrich von Stephan, najwybitniejsza postać ziemi słupskiej XIX wieku”. Organizatorem wystawy w Moguncji, w listopadzie 2012 roku, na której podziękowano za tę Jego niezwykłą pasję i stosunek do „niedobrych” Niemców, był Niemiecki Związek Filatelistów. Brało w niej udział ponad 600 uczestników z całej Europy. Wystawcy prezentowali swoje opracowania w sześciu grupach - od monografii po katalogi. Polskę reprezentowało osiemnastu wystawców, w tym słupszczyjanin Jerzy Henke, który wystąpił jako przedstawiciel Koszalińskiego Okręgu Polskiego Związku Filatelistów i na wystawie tej otrzymał tak zaszczytne wyróżnienie.

Jerzy Henke od lat związany był też ze słupskim strzelectwem, W Polskim Związku Strzeleckim zaczął działać jako delegat od 1985 roku. Był członkiem związku i szefem komisji rewizyjnej dwadzieścia jeden lat! Przez ten czas polskie strzelectwo przeżywało rozkwit - złote medale olimpijskie zdobywała Renata Mauer-Różańska, sukcesy odnosili słupszczyjanie Mirosława Sagun-Lewandowska i Robert Kraskowski. Po dwudziestu jeden latach sam zrezygnował z przewodniczenia komisji rewizyjnej. - Mam coraz więcej lat, a podróże do Warszawy kosztują wiele zdrowia. Zdecydowałem się przekazać funkcję koledze z Krakowa, który od kilku lat działał ze mną w komisji - wyjawiał powód swojej decyzji.

Dumny był z dokonań zawodniczki Gryfa Słupskiego - Mirosławy Sagun-Lewandowskiej, która zdobyła piątą lokatę na Igrzyskach Olimpijskich w Pekinie. Wynik ten najlepiej świadczył o słupskim środowisku strzelectwa sportowego, które miało wspaniałe tradycje, dzięki m.in.

Fot. J. Maziejuk

aktywności Jerzego Henkego i Jego działalności w związku,

Urodził się 18 lutego 1930 roku w Chełmnie nad Wisłą. Z wykształcenia był magistrem administracji. Na XVIII Walnym Zjeździe w 2002 roku otrzymał godność Członka Honorowego Polskiego Związku Filatelistycznego, w którym również działał z ogromną pasją. Do Koła Miejskiego PZF w mieście rodzinnym wstąpił 1 stycznia 1963 roku. W latach 1963-1990 był opiekunem szkolnych kół PZF w Chełmnie i Słupsku. Propagował i organizował z dużym powodzeniem konkursy wśród młodzieży na najładniejszy znaczek polski. W latach 1985-1997 był wiceprezesem Koła Miejskiego w Słupsku, a jednocześnie członkiem Zarządu Okręgu w Koszalinie. Od 1994 do 1997 roku prezesował, a od 1997 wiceprezesował Zarządowi Okręgu w Koszalinie. Był delegatem na XIV, XV, XIX i XX Walny Zjazd Polskiego Związku Filatelistycznego. Posiadał pokaźny zbiór znaczków i pamiątek filatelistycznych, który - jak się kiedyś zwierzył - w pewnym okresie życia musiał sprzedać, bo rodzinie potrzebne były pieniądze. Nie ubolewał z tego powodu. Mówił, że rodzina jest ważniejsza od znaczków...

Oprócz tego, że badał historię poczty swojego regionu, był także znanym i cenionym publicystą filatelistycznym. Był autorem wielu artykułów i zamieszczonych informacji o działalności związku w piśmie „Filatelista”, ale też opracowań zwartych, takich jak: „Pocztą i filatelistyka w Słupsku”, „Słupski epizod historii poczty oraz Słupsk, miasto rodzinne Heinricha von Stephana, założyciela UPU”, „Władcy Polski na banknotach”, „Nasze polskie banknoty w formie okazałych medali”, „Szlakiem literatury regionalnej”. Ukoronowaniem jednak Jego wieloletnich prac jest wspomniana już monografia „Heinrich von Stephan - najwybitniejsza postać ziemi słupskiej XIX wieku”, przygotowana w 2010 roku. Pomagał przy redagowaniu „Informatora Zarządu Okręgu PZF” w Koszalinie. Przygotował wiele wystaw: „Najładniejsze nasze”, „Szybować jak ptak”, „Pieniądzom wszystko jest posłuszne”.

Za swoją działalność uzyskiwał wiele wyróżnień medalowych na wystawach filatelistycznych. Był dwukrotnym laureatem medalu „Za zasługi dla rozwoju publikacji filatelistycznych” (1991, 2008). Za pracę zawodową i działalność społeczną został odznaczony m.in. Krzyżem Kawaler-

skim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, został wyróżniony odznakami honorowymi za zasługi dla województw: bydgoskiego, słupskiego i koszalińskiego, Złotą Odznaką „Za zasługi dla polskiej filatelistyki” (2000), godnością „Zasłużony dla Okręgu Koszalińskiego PZF” i innymi.

W roku 1999 doprowadził do odsłonięcia na Poczcie Głównej w Słupsku tablicy upamiętniającej Heinricha von Stephana. Z tej okazji został uhonorowany flagą UPU przez przedstawiciela Światowego Związku Pocztowego. Pisał do „Słupskiego Kolekcjonera”, ukazującego się z naszym pismem „Powiat Słupski”. Organizował kolegów ze związku, by przygotowywali artykuły, publikowali je i w ten sposób dzielili się swoją wiedzą historyczną, zachęcali, zwłaszcza młodzież do rozwijania pasji kolekcjonerskich. W szkołach, bibliotekach spotkał się z czytelnikami swoich publikacji. Jedno z ostatnich takich spotkań odbyło się 19 lutego ub. roku w Gminnej Bibliotece Publicznej w Kobylnicy - jako z autorem książki „Heinrich von Stephan - najwybitniejsza postać ziemi słupskiej XIX wieku” i autorem wystawy pocztówek oraz znaczków z własnych zbiorów. Na spotkaniach tych często towarzyszyła mu żona. Często razem zachodzili m.in. do Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku, gdzie był z różnych okazji zapraszany.

Nie zawsze podobało mu się wszystko, z czym się spotykał, ale znosił to ze spokojem, zrzucał na karb czyjejś nieznajomości rzeczy, braku doświadczenia itp. Nie lubił na przykład, gdy ludzi nie darzono należącym się im szacunkiem. I kiedy to mówił wcale nie chodziło mu o jego osobę, czy postać jego historycznego bohatera, Heinricha von Stephana.

Ostatnio coraz rzadziej zachodził do starostwa, spotkany w przelocie na mieście dawał do zrozumienia, że ze zdrowiem u Niego już nie najlepiej. Ale odwiedził któregoś dnia urząd, przyszedł sam i powiedział, że chciałby zostawić kilka materiałów, może się przydadzą. Były ułożone w sztywnej teczce, którą jak wyszedł po krótkiej rozmowie, włożyłem do szafy. Przeleżały w niej trochę czasu - może dwa - trzy miesiące. Gdy teraz do niej zajrzałem, zrozumiałem, że w ten sposób chciał się pożegnać. I zostawić po sobie pamięć...

Zbigniew Babiarsz-Zych, Słupsk



Fot. J. Maziejuk

Joanna Sobolewska to malarka, która się specjalizuje w portrecie, podejmuje coraz to nowe wyzwania, w poznawaniu głębszej harmonii i prawdy o otaczającym świecie i człowieku. Rodowód jej związany jest z Pasłękiem, tutaj się urodziła w 1975 roku, ale jej korzenie rodzinne sięgają dalej, na Kurpie, skąd pochodzili jej rodzice i dziadkowie. Tak wspomina swoje dzieciństwo: - Moje rodzinne strony to okolice Kadzidla i Działdowa. W Wysocie koła Działdowa spędzałam każde wakacje. W otoczeniu zieleni lasów, łąk i pól uprawnych, a przede wszystkim cudownej kultury kurpiowskiej. To tam wraz z rodzeństwem, a było nas jedenaścioro, uczyliśmy się kreatywności. Szylismy pacynki, wykonywaliśmy robótki na drutach i szydelku, a nawet robiliśmy lalki z... kukurydzy. Babciny strych i sprzęty pobudzały wyobraźnię, a kufer z zeszytami mamy, zapisanymi piękną kaligrafią, stał się dobrym wzorem w przyszłości. Były krosna i kołowrotki. W domu rodzinnym zawsze były ładne obrazy i mnóstwo książek, niektóre były pięknie ilustrowane.

Pierwszą edukację rozpoczęła w Szkole Podstawowej w Bągarciu (woj. elbląskie), a po przeprowadzeniu się rodziców do Świata (pow. słupski) kontynuowała naukę w Szkole Podstawowej w Daminie. W szkole tej dostawała zawsze gorszą ocenę za - jak oceniano - „niesamodzielną pracę” lub za tzw. „przerysowywanie”, więc starała się rysować gorzej. Do szkoły plastycznej nie uczęszczała. Rodzice wysłali ją do zawodówki, aby mogła się szybko usamodzielnic i zdobyć zawód. W 1990 roku rozpoczęła naukę w szkole zawodowej przy PZPS „Alka” w Słupsku, potem uczęszczała do Liceum Ogólnokształcącego i na kurs dekoratorów wnętrz. W 1993 roku podjęła pierwszą pracę zawodową w... pierogarni, a następne jej zatrudnienia były podyktowane uzyskaniem jak największych korzyści finansowych. Wykonywała różne prace, m.in. w masarni i przy produkcji ziemniaków. W 2004 roku zatrudniła się w Gminnym Ośrodku Kultury i Sportu w Daminie, dwa lata później - w Gminnej Bibliotece Publicznej. Tu spotkała prawdziwych pasjonatów sztuki i swojego opiekuna artystycznego w



Fot. J. Maziejuk

Portrecistka ze Świata

„Dobry malarz maluje człowieka i jego wnętrze duchowe”- pisał Leonardo da Vinci. Zgodnie z filozofią humanizmu sztuka lansowała ideę człowieka o wszechstronnie rozwiniętym intelekcie i duchowości, a odkryte ciało uczyniła symbolem piękna w ogóle.



osobie Bożeny Kozłowskiej, która do dziś wspiera ją w każdej dziedzinie jej życia, a przede wszystkim zachęca do malowania i rysowania.

Decydujący wpływ na uzdolnienia plastyczne J. Sobolewskiej miała atmosfera domu rodzinnego i przeniesione tradycje z kultury kurpiowskiej. O sobie mówi: - Po pierwsze zarażała mnie pewnie moja mama, która ma wiele talentów. Pewną rolę odegrała też zapewne siostra Ania, najstarsza, którą podpatrywałam jak wykonywała kolorowe rysunki. Kuzyn Herek nie dość, że pięknie malował, to posiadał jeszcze własną pracownię, w której pachniało zawsze farbami, olejem i terpentyną. I wreszcie wujek Jurek - on powiedział mi: „Kiedyś namalujesz mój profil”. Mając wtedy osiem lat zastanawiałam się, co to takiego, a jak się już dowiedziałam, to jak go narysować, a potem namalować? Kiedy mój starszy brat odbywał służbę wojskową, namówił mnie na malowanie chust rezerwistom. W tym czasie opanowałam też prawie do perfekcji akt kobiecy. Rysowałam od zawsze, a w początkowym okresie malowałam tylko baletnice. W szkole zawodowej na lekcji rysunku byłam wyróżniana za podejmowane tematy. Nauczyłam się właściwej organizacji pracy, a przede wszystkim opanowałam określone czynności związane z techniką malarską. Wykorzystywałam głównie wiedzę podręcznikową. Długo pracowałam nad swoim talentem. Na początku malowałam pastelami i farbami olejnymi pejzaże, potem przyszła kolej na kopie obrazów Chelmońskiego, martwe natury i grafiki. W 1993 roku wykonałam pierwszą pracę konkursową poświęconą reklamie obuwia, za którą zdobyłam

drugą nagrodę. Następny był konkurs, w którym swoją pracę podpisałam imieniem siostry. Otrzymałam w nim wyróżnienie...

W 2000 roku Joanna Sobolewska urodziła dziecko i zamieszkała w Gdańsku. Otarła się o tutejsze środowisko artystyczne. Ale przełomowa okazała się jednak praca w bibliotece w Damnicy. To tutaj odnalazła właściwy klimat do uprawiania malarstwa. W roku 2004 powstała seria jej grafik zatytułowana „pałace i dworki gminy Damnica” - na prośbę ówczesnego dyrektora Gminnego Ośrodka Kultury i Sportu. Początkowo prace te miały ilustrować kalendarz, obecnie zdobią sale Gminnego Ośrodka Kultury, Urzędu Gminy w Damnicy i Szkoły Podstawowej w Damnie. Wtedy też J. Sobolewska podjęła pierwsze poważniejsze próby rysowania portretu, rozpoczęła od techniki węgłem. Portretowała przede wszystkim dzieci.

Kolejnym etapem była wykonywana pastelami seria ilustracji znanych bajek dla biblioteki i Oddziału Pediatrycznego Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Słupsku oraz seria portretów Noblistów Polskich dla Szkoły Podstawowej w Damnie. Pomagała też w odnowieniu fresku w kościele w Damnicy.

Po tym doświadczeniu z malowaniem ściennym wzięła udział w 2010 roku w projekcie ozdobienia swoimi obrazami i rysunkami ścian Oddziału Pediatrii i Otolaryngologii słupskiego szpitala, a w 2012 roku - Szpitalnego Oddziału Ratunkowego. Są jeszcze jej malowidła ścienne i murale na „Lawendowej Przystani” w Ustce, w salonie urody Mirabella w Słupsku, w „Aktywnej Fabryce” w Słupsku, kaplicy wojskowej w Wejherowie, na ołtarzu w

Głobinie (wizerunek Jana Pawła II), w czytelni biblioteki w Damnicy.

Odrębnym zainteresowaniem młodej artystki było wykonanie grafiki starego Słupska dla właściciela „Leśnego Kota” i wspólne malowanie w Damnicy. Powstał tam mural zdobiący plac zabaw dla dzieci. Wykonywała też portrety ołówkiem i kolorowe ka-



rykatury, które trafiły do Austrii, Niemiec, Szwecji, Anglii i Nowego Jorku. Jest autorką ilustracji do książek dla dzieci dla Wydawnictwa Duszpasterzy Rolników we Włocławku oraz m.in. do książki Anny Rucińskiej pt. „Świat bajkowych wierszyków dla smyków”. Jedną z ostatnich jej prac jest malowidło ścienne w „Tawernie Portowej” w Ustce.

Gdy pytam ją o najbliższych jej mistrzów malarstwa, Joanna Sobolewska odpowiada, że to trudne dla niej pytanie. - Podoba mi się malarstwo starych mistrzów - na przykład pre-rafaelitów. Tak samo inspirują mnie impresjoniści i postimpresjoniści, na których wzoruje się wielu współcze-

nych artystów. Jeśli chodzi o malarstwo secesyjne, to odpowiadają mi prace Gustawa Klimta i A. Muchy. Ze współczesnych malarzy poznałam ostatnio Włodzimierza Łobunia ze Lwowa. Uczę się na jego przykładzie malowania pejzaży.

A jak rodzi sobie z pokonywaniem oporu materii i własnych słabości? - Jak większość twórców do malowania czy rysowania podchodzę spontanicznie. Czekam na tę chwilę, co zwie się natchnieniem lub weną twórczą. Nie jest to jednak oczekiwanie bezczynne. Nowoczesna technika umożliwia gromadzenie zdjęć ulotnych momentów, uroczych zakątków w plenerze, zmieniających się kolejno pór roku i różnobarwnych kwiatów, które później okazują się pomocne - mówi J. Sobolewska. - Codziennie też oglądam obrazy innych twórców. Kiedy już nadejdzie odpowiedni moment, włączam dobrą muzykę, parzę kawę i zabieram się do pracy. Czasami rodzi się we mnie twórcza złość, która przekłada się na ekspresyjność mojej pracy.

O swojej wyjątkowej pasji do portretowania: - Zaczęłam wykonywać portrety w 2002 roku i od tego czasu robię to do dziś. Początkowo moimi modelami były dzieci odwiedzające bibliotekę oraz uczestnicy zajęć świetlicowych. Dziś moimi modelami są też znajomi oraz ich rodziny. Portret to doskonały prezent dla bliskiej osoby, bardzo osobisty, więc cieszy obdarowanego. Przy tworzeniu portretu największym problemem staje się uchwycenie kreską piękna portretowanej osoby. Nie tworzę kopii człowieka, a jedynie jego obraz widziany moimi oczami. Najtrudniej jest mi rysować osoby, z którymi jestem związana emocjonalnie. Prawdziwe zadowolenie przychodzi dopiero wtedy, kiedy widzę radość odbiorcy. W namalowanie portretu wkładam tyle energii i emocji, że mogłabym nimi obdarować wielu ludzi. Sama nie posiadam własnych portretów, nie zdobiję więc moich ścian. Pracowni też jeszcze nie mam. Rysunek i malarstwo są moją wielką pasją, ale równie interesuje mnie haft, biżuteria szydełkowo-koralikowa i inne rękodzieło kurpiowskie.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Takie życie, czyli jak zostałam poetką

Coś niepojętego drzemało we mnie. Kłębiły się myśli, nie dawały spać w nocy. Często, obcując z przyrodą w samotności, rozmyślałam jakby to, czego doświadczam, pięknie ująć w słowa.

Po śmierci męża było mi tak ciężko, jak nigdy dotąd. Nastaly dni puste, straszne, pełne tęsknoty. W głowie jak młot kołatała jedna myśl: nie ma już Wacława, zostałam jak rozdarty przez burzę, potrzaskany pień drzewa. Wszystko pękło na pół. Pachniały lipy, był lipiec, a ja nie czułam ich zapachu. Głodziłam dłońmi kłosa zboża, wierzyłam, że w każdym jest cząstka rolnika, który je siał, ale on już ich nie zbierze. Serce bolało. Pies ciągle nadśledził powrotu z pola swojego pana.

Z synem Andrzejem i Pawłem, który miał zaledwie czternaście lat, musiałam podjąć ciężkiej pracy w gospodarstwie. Andrzej zostawił pracę zawodową. Mieliśmy dość dużą obsadę bydła mlecznego, było sporo jałowizny, opasów. Były maciory z prosiętami, które odchowywaliśmy na tuczniki. Nadchodziły żniwa i wszystko to trzeba było jakoś ogarnąć.

Paweł skończył szkołę podstawową. Po wakacjach miał kontynuować naukę w Słupsku. Wiedziałam, że będzie musiał codziennie dojeżdżać do szkoły autobusem. Najstarszy syn Leszek pracował w pobliskim Słowińskim Parku Narodowym, razem ze swoją dziewczyną. Niemal codziennie odwiedzał mnie i pomagał, ile mógł. Ta jego obecność w tamtym

czasie była dla mnie naprawdę bardzo ważna.

Jedyna córka, Wiola mieszkała w Słupsku, wychowywała małego synka. Razem z mężem budowali swój dom i sama potrzebowała pomocy.

Przy ciężkiej pracy szybko upływa dzień za dniem. Przed śmiercią męża zaciągnęliśmy w banku dość spory kredyt i nie zdążyliśmy go spłacić, kiedy jeszcze żył. Andrzej pracował, miał stałe dochody i to on co miesiąc wpłacał raty. Kredyt był dolarowy, a dolar zmienił nagle swoją wartość. Gdybyśmy od razu nie wpłacili całej sumy, musielibyśmy wpłacić trzykrotnie większą.

Pierwsze święta smutne były jak nigdy. Przy stole zostało puste miejsce. Nie mieliśmy pieniędzy nawet na zwykłe życie. Cieszyliśmy się, że nie mamy już długu! Przy świątecznym stole zaplanowaliśmy nowe pokrycie dachu na naszym domu, bo stare przeciekało. Pierwszą rocznicę śmierci Wacława synowie uczcili nowym czerwonym, blaszanym dachem. Strych pachniał też świeżym drewnem, bo zastąpiło stare, spróchniałe.

Przyszedł nam do głowy pomysł, żeby na obszernym strychu urządzić też mieszkanie. Sznurkiem podzielił go na poszczególne pomieszczenia. Wyszło nam, że zyskamy trzy ład-

Fot. J. Maziejuk

ne, wcale niemałe pokoje. Jeden już był, bo mieszkał w nim schorowany brat męża. Bardzo zapaliliśmy się do tego pomysłu. Obliczyliśmy, że prowadząc gospodarstwo, damy radę. Wszystkie prace wykonywał Andrzej z pomocą Pawła. Moja pomoc nie mogła być znacząca, bo musiałam zajmować się pracą przy zwierzętach i w polu. W tym czasie bardzo podupadłam na zdrowiu. Groziła mi poważna operacja.

W gospodarstwie też zaczął przesładować nas pech. O ile nigdy nie mieliśmy kłopotów z naszymi krowami, tak nagle zaczęły się problemy przy wycieleniach. Straciliśmy kilka krów. Ręce powoli opadały. W tym czasie, w pierwszy dzień Wielkiej Nocy w 1998 roku zmarł też brat męża, Władysław. Okazało się, że śmierć odwiedziła nasz dom w Człuchach już cztery razy. Najpierw zabrała teściową Stanisławę, następnie siostrę męża - Zofię, mojego Wacława i teraz jego brata. Gdzieś słyszałam, że dom staje się prawdziwym domem, kiedy jest uświęcony poprzez narodziny, zamążpójście, i poprzez śmierć. Uznałam, że w naszym przypadku ten ostatni warunek został spełniony z nawiązką.

Czas powoli goił ból. Powoli przyzwyczajałam się do nowego życia, ale coś jeszcze niepojętego drzemało we mnie. Jeszcze sama nie wiedziałam, co. W głowie kłębiły się myśli, nie dawały spać w nocy. Często, obcując z przyrodą w samotności, najczęściej pracując w polu, rozmyślałam, jakby to, czego doświadczam, pięknie ująć w słowa. Spotkałam wtedy na swojej drodze dziennikarza-poetę Jerzego Dąbrowę-Januszewskiego i przeczytałam tomik jego wierszy, który mi podarował. Coś mną ruszyło. Nieśmiało, w tajemnicy przed wszystkimi, często w nocy siadałam przy stole w kuchni, nad którym świeciła lampa i układałam swoje myśli w słowa. Tak rodziła się moja poezja, jeszcze nieporadna, ale bardzo szczerą. Pisałam, co mi serce podpowiadało. Układałam rymy, kreśliłam, liczyłam zgłoski. Dziś sama się dziwię, skąd wiedziałam, że tak trzeba. Długo nikomu nie pokazywałam swoich zeszytów, chowałam je do szuflady.

Na swej drodze życia spotkałam też księdza Roberta Jakubowskiego ze Smołdzina. Często rozmawialiśmy. Miałam wrażenie, że lubi ze mną dyskutować. Potrafił wytłumaczyć mi wiele spraw, z którymi nie mogłam sobie poradzić. Nawet się nie spostrzegłam, jak stał się przyjacielem mojego

domu. W chwili szczerości pokazałam mu swoje wiersze. Zdziwiło go, że wiejska, prosta kobieta potrafiła tak swoje myśli ubrać w słowa. Zaproponował, że przepisze mi je na komputerze i postara się o ich druk. Wkrótce ujrzałam je wydrukowane. Książkę prosił mnie, żebym nie kryła się więcej ze swoim pisaniem. Posłuchałam i tak mam już dzisiaj wydanych kilka tomików mojej poezji...

Zdarzyło się, że moje gospodarstwo odwiedziła też pracownica ODR w Strzelinie. Podziwiała poczynania związane z jego remontem. Zaproponowała przyjęcie gości w ramach agro-

turystyki. Obiecała, że na Targach Agroturystycznych w Warszawie zaprosi do nas letników. Nie bardzo wierzyłam, że ktoś będzie chciał przyjechać i wypoczywać w Człuchach, w których nie ma nawet małego sklepu. Zdziwiłam się, gdy zadzwonił telefon i zapowiedzieli się pierwsi goście. Po nich przyjechali następni i następni. Mieliśmy już do dyspozycji cztery pokoje, domowe obiady, na życzenie - również śniadania i kolacje. Letników przyjmowaliśmy przez cztery lata, prowadząc jednocześnie gospodarstwo rolne. Potem moje życie spotkały nowe niespodzianki.

Henryka Jurałowicz, Słupsk

Uhonorowany najwyższym odznaczeniem Finlandii

Jerzy Mazurek, były prezydent Słupska, obecnie wiceprzewodniczący Rady Miejskiej, otrzymał Order Lwa Fińskiego - Rycerz I klasy - najwyższe odznaczenie Finlandii przyznawane obcokrajowcom.



Fot. Archiwum Autora

To prestiżowe wyróżnienie za wybitne zasługi dla współpracy obu krajów J. Mazurek odebrał z rąk ambasadora Finlandii w Polsce - Hanny Lehtinen. - Przed ambasadą czekała jakaś skromna kobieta, która zaprosiła nas do środka. Okazało się, że to Pani ambasador - śmieje się Jerzy i zaraz dodaje: - Było to serdeczne spotkanie z pełnymi empatii ludźmi. Przy okazji podarowałam im wystawę fotograficzną „Rybacki Pomorze Środkowe”, która będzie wędrowała po ich kraju. Odbierając odznaczenie powiedziałem: - Mój wnuk dostał na imię Ari (sta-

rofińskie). Jest to klamra spinająca początki naszej współpracy i przyjaźni ze współczesnością.

J. Mazurek znalazł się tym samym w gronie takich ludzi odznaczonych, jak: Mohamed Reza Pahlawi, Jose Manuel Barroso, Krzysztof Penderecki czy Zofia Czernow - przewodnicząca Polsko-Fińskiej Grupy Parlamentarnej.

Wszystko zaczęło się w 1979 roku, kiedy młody historyk z Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Słupsku wybrał się z grupą studentów na motorynki zasponsorowane przez bydgoskiego producenta do Finlandii. Kraj ten zauroczył go swoją przyrodą i kulturą, serdecznym przyjęciem mieszkańców do tego stopnia, że wkrótce odbyła się jeszcze jedna wyprawa, po której postanowiono założyć Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Fińskiej. Jego prezesem został J. Mazurek i jest nim nieprzerwanie do dziś. Jako działacz towarzystwa nakłonił ówczesne władze Słupska do nawiązania współpracy z miastem Vanta, wchodzącym w skład helsińskiej aglomeracji. Współpraca ta ewoluowała od wymiany grup dzieci i młodzieży do kontaktów na wielu płaszczyznach społeczno-kulturalnych, które są rozwijane.

Leszek Kreft, Ustka

- Jak się zaczęła Pana przygoda z teatrem?

- Urodziłem się na wsi, na Litwie. Potem wychowywałem się we wsi Pokomsze, koło Suwałk, a następnie od 1946 roku we wsi Świdry. Moje pierwsze doświadczenia teatralne to Jasełka (Herody), wystawiane przez moich wujków, którzy po powrocie z lasu, po wojnie byli kulturalnymi aktywistami w świetlicy gromadzkiej na Mazurach. Kościół katolicki też dostarczał wrażeń teatralnych. W wieku ośmiu lat z dziećmi na podwórku, z sąsiadami, inscenizowałem procesję Bożego Ciała, czyli formę teatru plenerowego. Następnie - pierwsze przedstawienie teatru zawodowego, który obejrzałem w kinie Mazur w Olecku. Był to „Pan Gelthab” Aleksandra Fredry w wykonaniu aktorów Teatru im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku. W szkole średniej w Białymstoku (ukończyłem technikum rolnicze) miałem nauczycieli przedwojennych, przybyłych z Wilna, którzy mocno stawiali na teatr szkolny, typu jezuickiego. Byłem tam aktorem. Grałem m.in. Papkina w „Zemście” A. Fredry. Oczywiście Teatr im. A. Węgierki był w tym czasie sceną wybitną, prowadzoną przez Irenę Górską-Damiecką, a ja chodziłem tam notorycznie - to także była dla mnie świetna szkoła.

- Po odbyciu zasadniczej służby wojskowej, rozpoczyna Pan studia w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi, na Wydziale Reżyserii Filmowej...

- Naukę tam rozpocząłem w roku 1969, natomiast przedtem studiowałem pedagogikę na Uniwersytecie Warszawskim, byłem także nauczycielem wiejskim oraz instruktorem teatralnym w świetlicy PSS Społem w Olecku, gdzie rozpocząłem pierwsze samodzielne prace reżyserskie, tworząc teatr poezji.

- Kto wywarł szczególne piętno w Pana edukacji zawodowej?

- Studia w Łodzi były czasem wolności i odkrywania sztuki, odkrywania siebie. W tym okresie ukształtowała się moja osobowość artystyczna. Krzysztof Zanussi uczył nas rzemiosła gramatyki filmowej i bardzo wiele mu zawdzięczam. Zygmunt Hübner uczył reżyserii teatralnej, bardzo skutecznie. Dużo zawdzięczam także Jerzemu Grzegorzewskiemu, u którego boku miałem zaszczyt asystować w realizacji sztuk J. Geneta w Łodzi. Hu-

manistycznie wiele zawdzięczam wybitnej krytyk filmowej, Marii Kornatowskiej oraz Krystynie Zwolińskiej, która była historykiem sztuki. Duży wpływ na mnie miał także mój kolega ze studiów, Krystian Lupa. Podsuwał mi lektury, odbywaliśmy wspólne wizyty w galeriach sztuki, współpracowaliśmy także w Teatrze Studenckim Cytryna. Szczególnie interesowała mnie wtedy sztuka filmowa oraz teatr. Z powodów technicznych więcej mogłem realizować przedstawień teatralnych niż przedsięwzięć filmowych. Rozwinąłem także swoją edukację muzyczną, poprzez systematyczne uczęszczanie do Filharmonii Łódzkiej.

- Praca dyplomowa to etiuda szkolna z 1972 roku pt. „Odwieziny Matki Boskiej” wykonana pod opieką Janusza Majewskiego. Jakiego tematu dotyczyła?

- To była duża etiuda na koniec studiów, tak zwana praca absolutoryjna. Scenariusz napisałem sam, wykorzystując swoje doświadczenia życiowe. Film przedstawia pewne konkretne zdarzenie, jakiego byłem

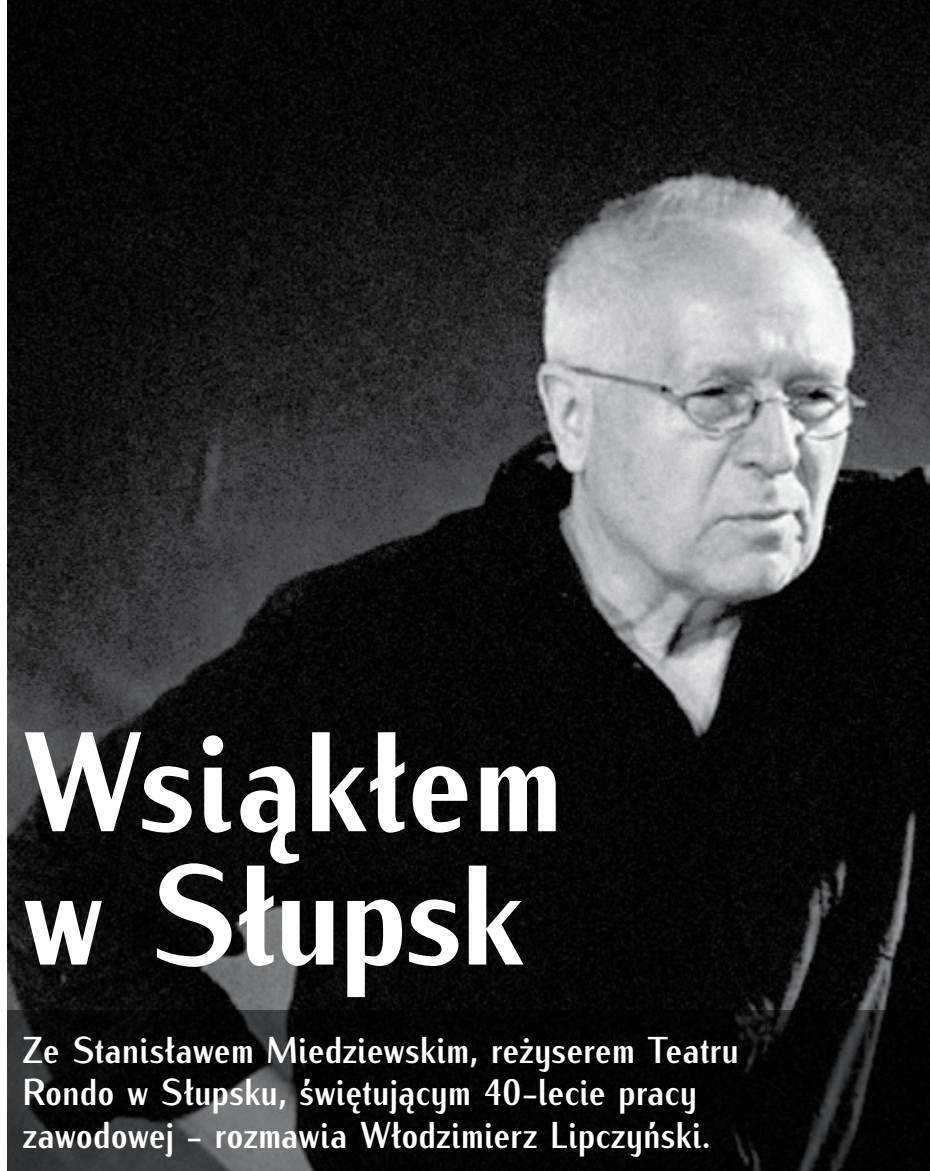
świadkiem w czasie obchodów Milenijnych - mianowicie wizytę kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, w moim domu rodzinnym. Jest to portret zbiorowy mojej rodziny i okolicznej społeczności w tym momencie, w tym dniu. Treścią było pokazanie obrzędu o charakterze religijno-towarzyskim.

- Jakie były początki Pana pracy po odbyciu stażu w Teatrze B. Brechta w Berlinie Ensemble i w Teatrze Miejskim w Toruniu?

- Po studiach szukałem swojego miejsca w różnych teatrach w Polsce. Najwięcej udało mi się zrobić w Toruniu. Dyrektor Marek Okopiński zaprosił mnie do pracy, zrealizowałem „Grupę Laokoona”, Różewicza, następnie „Emigrantów” i „Krawca” S. Mrożka, później przedstawienia w stylu Commedia Del'arte pod tytułem „Rzymska Kurtyzana”. Potem Józef Gruda, dyrektor Teatru Polskiego w Szczecinie, zaprosił mnie do realizacji projektu „Wyspiański”, który został odwołany przez władze partyjne, a ja straciłem możliwość pracy. Ale w Szczecinie zostałem i dane mi by-

Wsiąkłem w Słupsk

Ze Stanisławem Miedziewskim, reżyserem Teatru Rondo w Słupsku, świętującym 40-lecie pracy zawodowej - rozmawia Włodzimierz Lipczyński.





Fot. Archiwum Autora

ło jeszcze pracować z Wandą Laskowską przy realizacji spektaklu „Warszawianka” Wyspiańskiego. Potem musiałem wyjechać ze Szczecina, po drodze zatrzymałem się w Słupsku, na zaproszenie dyrektora Teatru Rondo, Antoniego Franczaka, który znał moje prace i cenił je.

- Co zdecydowało, że tutaj się Pan zatrzymał?

- W 1976 roku związałem się z Teatrem Rondo, stale pracując z tą grupą i biorąc udział w rozbudowie siedziby przy ulicy Niedziałkowskiego. W Rondzie zrealizowałem „Rzecz o Wolności”, nagradzaną na festiwalach w Polsce i na Węgrzech, następnie „Dziady”, oraz wspólnie z A. Franczakiem kilka wielkich realizacji plenerowych, które prezentowane były m.in. w Portugalii i Austrii. Co zdecydowało, że zatrzymałem się w Słupsku? Chyba atmosfera. Była tu grupa ciekawych, twórczych ludzi, atmosfera poszukiwania. Miałem wielką satysfakcję z tej pracy. Ciągłe było coś do roboty, były sukcesy, rok po roku wsiąkałem w Słupsk i stawałem się częścią tego środowiska.

- Proszę przybliżyć swoje osiągnięcia zawodowe.

- Otrzymałem nagrodę Ministra Kultury i Sztuki, Order Ministra Kultury i Sztuki „Zasłużony dla kultury narodowej”, Nagrodę Wojewody, kilka Nagród Prezydenta Miasta Słupsk. W Teatrze Rondo zrealizowałem czterdzieści projektów monodramowych, co najmniej dwadzieścia otrzymało przeróżne nagrody na festiwalach ogólnopolskich i zagranicznych. Począwszy od współpracy z M. Bortkiewiczem były to m.in.: „Sztuka”, „Bobok”, potem „Kalamarapaksa” i „Matka Mejsza” z Caryl Swift, następnie „Diva”, „Białe na Białym” oraz „Przyj dziewczyno, przyj” w wykonaniu Wiolety Komar, „Od przodu i od tyłu” z Mateuszem Nowakiem.. W międzyczasie w Teatrze im. Witkacego zrealizowałem „Dziady” A. Mickiewicza, które zostały zagrane aż dwięście pięćdziesiąt razy w całej Polsce.

- Można przeczytać w Pana CV, że wielokrotnie uczestniczył Pan w festiwalach teatralnych...

- Te festiwale to między innymi: WROSTJA - Wrocławskie Spotkania

Jednego Aktora, Festiwal w Toruniu, Sam na Scenie w Słupsku, Windowisko w Gdańsku, Festiwal Teatrów Niewielkich w Lublinie. Z zagranicznych: Thespis w Kolonii (Niemcy), a także festiwale w Wilnie, w Nowym Jorku. Warsztaty realizowałem: w Rosji, w Teatrze w Archangielsku, w Cambridge w Art Centre. Z kieleckim Teatrem Ecce Homo zrealizowałem pięć przedstawień.

- Objęcie funkcji reżysera zobowiązywało. Czy miał Pan własną koncepcję rozwoju Teatru Rondo?

- Miałem i mam koncepcję własnego rozwoju, która wpisuje się w rozwój słupskiego teatru, w którym pracuję. Specjalnie nie badam „rynku” teatralnego, staram się raczej mówić od siebie - szczerze, podejmować takie tematy i problemy, w których współczesny widz doskonale się rozpoznaje i które mogą go zainteresować. Moja praca polega na wspieraniu talentów aktorskich, z którymi realizuję monodramy. Jest to pełna wypowiedź artystyczna, teatralna. Podejmujemy różną tematykę - dbam, by podstawą tej pracy była tzw. literatura wysoka.

- Czy jest Pan zadowolony z pracy w Słupsku?

- Wszystko co udało mi się zrobić w Słupsku uważam za swój sukces zawodowy, bo nie było klęsk. Rozczarowań także właściwie nie było.

- Niedawno świętował Pan 40-lecie pracy zawodowej. Był to pracowity okres. Jakie ma Pan plany na najbliższą przyszłość?

- Zajmuję się jedynie małą częścią tego, czym jest słupski Teatr Rondo. Jestem jego częścią. Obecnie skupiam się na realizacji spektaklu „Stara kobieta wysiaduje” według Tadeusza Różewicza, premiera odbędzie się 30 listopada. Co będzie później, jeszcze mnie wiem, zobaczymy co przyniesie życie.

- Czym zajmuje się Pan poza teatrem?

- Pozateatralnie gotuję zupę oraz różne pulpy starcze. Oczywiście czytam książki, słucham muzyki i śledzę muzyczną karierę mojej wnuczki, w Lipsku, w Niemczech. Spaceruję dużo po lesie, ćwiczę tam teksty. Ogólnie nie zdarza mi się nudzić. A przede wszystkim myślę o nowych realizacjach.

**Rozmawiał:
Włodzimierz Lipczyński, Słupsk**

Po drugiej stronie okna

Z Grzegorzem Gurlaczem – liderem Kapeli z Gminy Damnica rozmawia Mariusz Smoliński.



- „Po drugiej stronie okna” to tytuł pierwszej płyty wydanej przez Kapelę z Gminy Damnica, działającej przy Centrum Edukacji i Kultury. Autorem tekstów i muzyki jest... Grzegorz Gurlacz, który śpiewa i gra w zespole na gitarze...

- Dodaj jeszcze, że zaaranżowałem także wszystkie utwory. Kapela nasza powstała w 2014 roku. Na początku instrumentarium zespołu było bardzo skromne, składało się jedynie z gitary i akordeonu, na którym grał Zbyszek Szczepaniak. Wkrótce jednak do kapeli dołączyła Anna Krysiak, wokalistka obdarzona niezwykle akasmitnym głosem. Następnie brzmienie zespołu uzupełniły skrzypce, na których gra moją żoną Agnieszką. Z czasem skład grupy się powiększał. Wiosną, tego roku, do zespołu dołączyły dwie kolejne wokalistki: Justyna Terefenko i Ewelina Matuszewska. Śpiewamy, bo... lubimy śpiewać i cieszyć się wspólnym muzykowaniem.

- Skąd wziął się pomysł na utworzenie kapeli?

- Idea była taka, by wciągnąć ludzi, którzy na stałe są związani z gminą Damnica, w pracę twórczą. W ten sposób w zespole znaleźli się: bankierka, osoba pracująca w nadleśnictwie, rencista, jest jakiś dyrektor i muzyczka. Wszyscy albo mieszkają na terenie gminy, albo tutaj pracują, stąd właśnie wzięła się nazwa. Nie jest jakoś szczególnie wyszukana. Jest prosta i o to nam chodziło, aby od razu można było stwierdzić, co to za zespół

i skąd pochodzi. Naszą nazwę można szybko skojarzyć z konkretnym miejscem, a my chcemy promować gminę Damnica.

- Jak już sam zaznaczyłeś, w porównaniu do pierwotnego składu, kapela mocno się ostatnio rozrosła. Czy to już koniec powiększania zespołu?

- Nie, nie jest to jeszcze skład ostateczny. Powoli ujawniają się w naszej gminie nowi ludzie, którzy widzą, co robimy i sygnalizują nam, że chcieliby do nas dołączyć. Zamierzam wzbogacić skład kapeli o jakieś trzy instrumenty dmuchane, na przykład trąbki i klarnet. Moglibyśmy wtedy zyskać dodatkowe brzmienie. Na naszej płycie są takie delikatne motywy, które dadzą się pięknie podkreślić trąbkami, nawet całą sekcją dmuchaną.

- Jak sklasyfikować waszą muzykę?

- Tworzymy współczesną piosenkę wiejską z elementami stylu bałkańskiego. Jest to muzyka inspirowana. Chcemy, aby była radosna. Taki charakter mają te bardziej rytmiczne, tańeczne utwory, zawarte na płycie. W naszej twórczości czerpiemy pełnymi garściami z klimatu wiejskiego. Dla mnie wieś, to radość, zabawa, ale też i

blógi spokój. Niemniej na płycie znalazły się również elementy delikatne i wrażliwe, które są dla nas również ważne. W tym przypadku chodziło o to, aby pokazać, że życie na wsi, nie jest tylko wesołym skakaniem po wodzie, ale że zdarzają się też sytuacje nieprzyjemne, iż czasami do czegoś wpadniemy i nie będzie to woda, tylko coś brudnego. W mojej ocenie ważne było, aby każdy z utworów, bez względu na to jaki ma klimat, wesoły, czy smutny, miał dużą dozę prostoty i szczerości, które są charakterystyczne dla wsi. Tutaj życie nie jest tak skomplikowane, jak w mieście. Jest pozbawione tego pędu, zgiełku miejskiego, a przez to, przez ten spokój, zwolnienie i wyhamowanie jest bardziej szczerze i proste. Na wsi wszystko się przyjmuje i oddaje szczerzej, wszystko się głębiej przeżywa i myślę, że tę szczerość i prostotę słychać w naszej muzyce.

- „Po drugiej stronie okna” - czy tytuł ma jakieś ukryte znaczenie, w jaki sposób nawiązuje do treści zawartej na płycie?

- Może być rozpatrywany dwójako. Filozoficznie, jeżeli ktoś zechce go tak postrzegać i poszukać w nim czegoś ciekawego, to znajdzie. Ja zna-



lażem i tłumaczę sobie go w ten sposób, że jesteśmy, jak te muchy w szybie, które zawsze chcą się dostać na drugą stronę. Jak są w domu, to chcą wylecieć poza dom, jak są na zewnątrz, to chcą koniecznie wlecieć do zamkniętego pomieszczenia. My też tacy jesteśmy, też tak działamy, że zawsze nas ciągnie gdzieś tam, gdzie nas nie ma. Ciekawość leży w ludzkiej naturze. Nasze piosenki, które początkowo wydają się oczywiste, mają zaskakującą puentę, która jest ukryta gdzieś tam po drugiej stronie, mają drugi koniec i to także nawiązuje do tytułu płyty. Można zatem w nim znaleźć coś filozoficznego, ale można go też odbierać wprost, ogólnie.

- Gdzie można was posłuchać i kupić płytę?

- Płytę już wydaliśmy i w ten sposób zakończyliśmy pewien etap pracy. Teraz będziemy się koncentrować na organizacji koncertów i promocji naszego wydawnictwa. Chcemy umieścić fragmenty utworów na stronie internetowej, aby każdy mógł ich posłuchać. Najbardziej zależy nam na sprzedaży, albowiem każdy zakupiony krążek, to wymierne wsparcie działalności naszego domu kultury. Pozyskane pieniądze będą inwestowane po trosze w zespół, a po trosze w młodych ludzi, którzy uczą się u nas grać i śpiewać. Na razie wydaliśmy jedną płytę w nakładzie tysiąca pięciuset sztuk. Płyta ta dostępna jest przede wszystkim w Centrum Edukacji i Kultury w Damnicy.

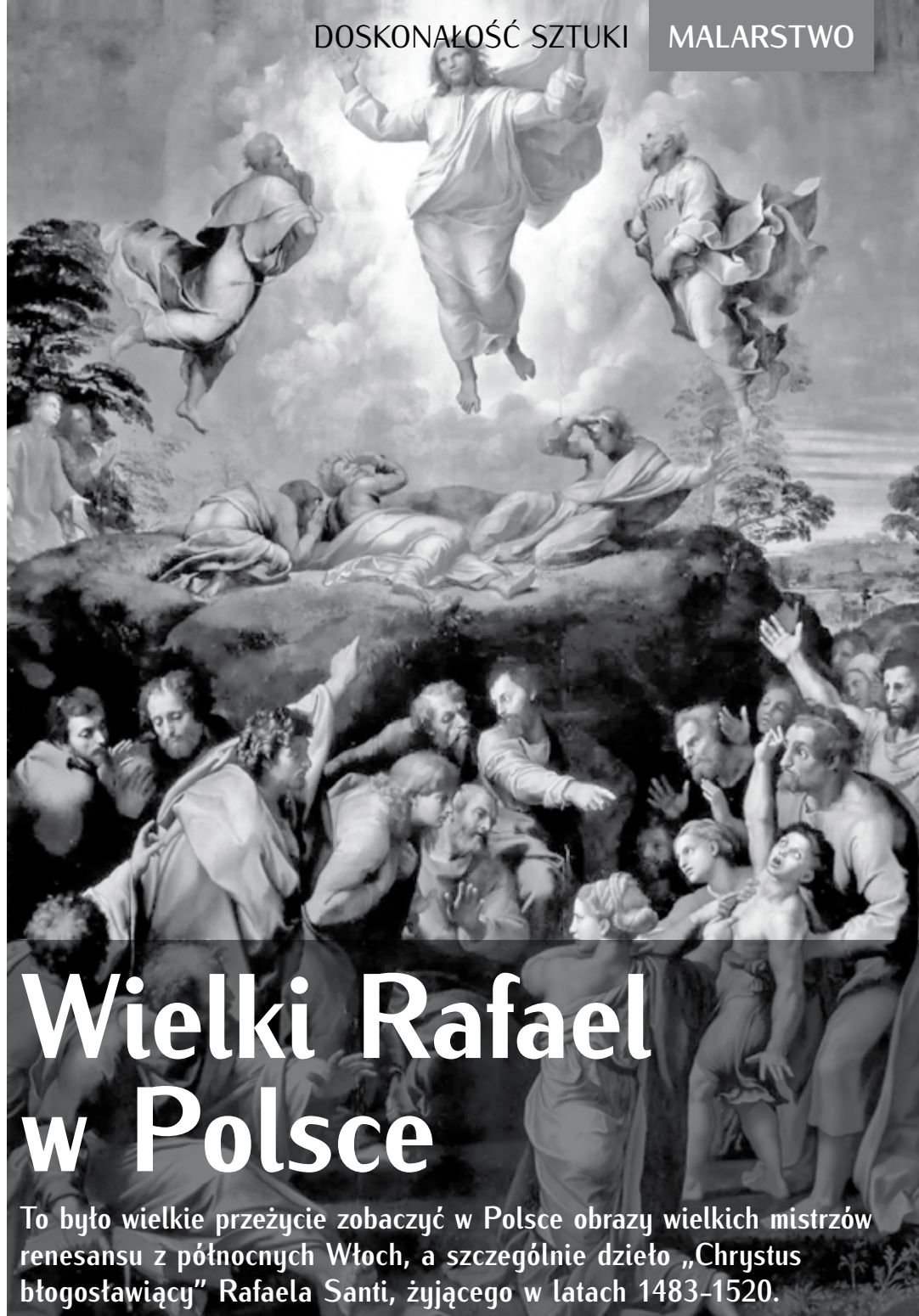
- A jakie macie plany na przyszłość?

- Na pewno będziemy szukać nowych form i poszerzymy skład zespołu. Mamy już kilka nowych utworów, które mogą być początkiem kolejnej płyty. Pierwsze wydawnictwo - trochę mi głupio o tym mówić - było w pełni moje, autorskie. Dlatego teraz zachęcam innych członków zespołu do tworzenia i to już się dzieje, co jest fajne i inspirujące. Ania Krysiak zaczęła pisać teksty i do tych słów można już tworzyć muzykę. Justyna Terefenko też zaczęła coś pisać. Prawdopodobnie nowa płyta będzie naszą wspólną pracą.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:

Mariusz Smoliński, Słupsk



Wielki Rafael w Polsce

To było wielkie przeżycie zobaczyć w Polsce obrazy wielkich mistrzów renesansu z północnych Włoch, a szczególnie dzieło „Chrystus błogosławiący” Rafaela Santi, żyjącego w latach 1483-1520.

Wystawa „Brescia. Renesans na północy Włoch” w Muzeum Narodowym w Warszawie zgromadziła pięćdziesiąt obrazów mistrzów północnowłoskiego renesansu. Zaprezentowane zostały dzieła z Pinakoteki Tosia Martinenga w Brescii, z Accademii Carrara w Bergamo i z włoskich kolekcji prywatnych, a także kilkanaście płócien mistrzów lombardzko-weneckiego cinquecenta ze zbiorów polskich. Znalazł się na niej też obraz wypożyczony z Zamku Sforzów w Mediolanie.

Renesansowe malarstwo to odnowienie sztuki, oparte na wartościach grecko-rzymskiego antyku. Sztuka ta

narodziła się po 1400 roku we Włoszech. Jest nie do oceny, wprowadziła nowego ducha do kultury europejskiej, rodzenie się humanizmu i odrodzenie wiary w człowieka.

Renesans włoski rozwijał się na przestrzeni ponad dwustu lat i dał początek nowożytnej historii w dziejach malarstwa europejskiego. Powstały dzieła ponadczasowe, które złożyły się na unikalne dziedzictwo kultury światowej. Sale wystawy w Muzeum Narodowym tworzyły wydzieloną odrębność z przygotowaną specjalnie scenografią. Centralny punkt stanowił obraz Rafaela „Chrystus błogosławiący”, którego twarzą malarz nadał własne ry-

sy. Jest znakomicie namalowany. Patrząc nań z bliska budzi dreszcz emocji i to nie tylko u prawdziwego miłośnika sztuki. Drugi obraz z kręgu Rafaela to „Madonna z Dzieciątkiem”. Mistrz stworzył całą kolekcję obrazów poświęconych Madonnom. Rafael urodzony w Urbino, a działający w Rzymie jest najmłodszym z trójki genialnych artystów włoskiego renesansu, obok Leonarda da Vinci i Michała Anioła. Już za życia został okrzyknięty geniuszem, a po jego śmierci oplakiwali go w swych wierszach wybitni poeci. Jego malarstwo stało się symbolem renesansowej harmonii i miarą doskonałości.

Wystawa pozwalała na porównanie dzieł tego wielkiego mistrza z obrazami współczesnych mu artystów działających na północy Włoch, gdzie miasto Brescia jest uważane za aktywny artystycznie ośrodek. Wyodrębnia się nawet pojęcie szkoły „scuola bresciana”, co potwierdza wyjątkowość cech związanych ze stylistyką uprawianego tam malarstwa. Przedstawicielami tego kierunku są m.in.: Morretto i Savoldo oraz Moroni.

Dalej można było zobaczyć obrazy równie fascynujących malarzy: Tycjana, Tintoretto, Lotto i Sofonisba Anguisolla. Same te nazwiska świadczą o wielkości artystycznego przedsięwzięcia. - Rafael to doskonałość renesansu. Od jego obrazów nie możemy oderwać wzroku. Obrazy te pokazują wielkość malarstwa lombardzkiego cinquecenta oraz kunszt jaki udało się osiągnąć artystom w Brescii i Bergamo. Cóż niezwykłego tkwi w malarstwie tych miast? Po pierwsze jest to malarstwo poetyckie i bardzo nowoczesne, trafiające do współczesnego widza. Po drugie, jest to malarstwo prawdy - wiernego odtwarzania rzeczywistości - powiedziała mi Joanna Kilian - kuratorka wystawy.

Na wystawie było też kilka dzieł ze zbiorów polskich, które prezentują również wysoki kunszt artystyczny. Z naszych zbiorów pochodził obraz Lorenza Lotto, pracującego w Treviso, Bergami i Wenecji, ze sceną adoracji Dzieciątka, namalowany w latach 1507-1508. Został on zakupiony w 1974 roku przez Muzeum Narodowe w Krakowie. - Jest przepiękny - ocenia Luigi di Corato, dyrektor Fondazione Brescia Musei. - Matka Boska trzyma Dzieciątko między kolanami. Nagusienki, śpiący Jezus zapada się tak, jakby leżał w kołysce. Spoczywa nie bezpośrednio na kolanach matki,

lecz na rozłożonej na nich chuście czy też pieluszcze. Śpiące Dzieciątko zdaje się bezwładnie opadać na kolanach Matki Boskiej, tak jak ciało martwego Chrystusa w przedstawieniach Pietty. Sama chusta jest jak całun, którym okryty zostanie Ukrzyżowany.

Na wystawie było też wiele znakomitych portretów. Największe wrażenie wywierał wizerunek Gian Gerolama Grumellego, pędzla Giovanni Battisty Moroniego z 1560 roku. Pochodzi ze zbiorów Palazzo Moroni w Bergamo. Sportretowany Gian Gerolamo to arystokrata z Bergamo, lombardzkiego miasta na zachodnich rubieżach republiki weneckiej. Ubrany jest w strój nawiązujący do mody hiszpańskiej, co interpretowano jako jego przynależność do filo-hiszpańskiego stronnictwa w Bergamo. Jak można przeczytać w starannie opracowanym katalogu do wystawy: „Malarz z najwyższym mistrzostwem łączy tu dziedzictwo europejskie portretu reprezentacyjnego z lokalną tradycją lombardzkiego naturalizmu, który nadawał szczególną rolę detalom: wyrazowi twarzy i oczu, zaróżowionym policzkom.”

- Takich obrazów nie malowano do muzeów, ale dla konkretnych domów. Na przykład kompozycje z nagą Wenus były zasłonięte kotarą i wisiały w alkowie małżonków - powiedziała mi Joanna Kilian.

Wystawę uzupełniały przedmioty codziennego użytku z XVI wieku. Jej oprawę plastyczną powierzono znakomitemu scenografowi teatralnemu Borisowi Kudliczce. Autor ten zaaranżował wystawę tak, aby sale w delikatny sposób nawiązywały do wnętrza kościoła, domu oraz warsztatu. Pomagała ona dostrzec i zrozumieć, jakie były źródła i najważniejsze założenia renesansowego malarstwa północnych Włoch. Przed wejściem ustawił kompozycję, która w symboliczny sposób tłumaczyła renesansową zasadę „złotego podziału” w sztuce.

Unikalną wystawę zorganizowano z okazji jubileuszu 1050-lecia Chrztu Polski i Światowych Dni Młodzieży, we współpracy z Fondazione Brescia Musei i Start. Patronatem honorowym objęli ją - prezydent RP Andrzej Duda oraz prezydent Republiki Włoskiej - Sergia Mattarelli. To zapewne było jedno z najciekawszych wydarzeń kulturalnych nie tylko w stolicy, ale w całej Polsce w 2016 roku.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Urodziła się w poniedziałek 10 lipca 1899 roku w Małej Płotnicy na Polesiu z rodziców Józefa i Emilii Pawłowskich. Lato tego roku było mokre, a gazety donosiły o skutkach opadów: „Kraków, 10 lipca. Wisła pod Krakowem i okolicy przybiera w sposób zastraszający. (...) Pola św. Katarzyny przy Skalce, obsiane żytem, owsem, i kartoflami znajdują się pod wodą, tak samo gęsiarnia żydowska na Grzegórzki, nie mniej nowy tor kolejowy.” Poranne wydanie „Słowa Polskiego” wychodzącego we Lwowie od 1895 roku, przynosiło wiadomości z Wiednia, Lublany, Belgradu, Budapesztu i innych interesujących miejsc.

Dzień później, czyli 11 lipca 1899 roku w Turynie w Palazzo Bricherasia podpisano akt założycielski znanej nam firmy, która w 1900 roku rozpoczęła produkcję pojazdów pod marką „Fiat”.

O małej wsi Mała Płotnica próżno szukać informacji w dawnych gazetach. Pocieszyć się trzeba „Słownikiem geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” (t. VIII, str. 322), który tak opisuje wieś: „Mała Płotnica - wieś i dobra - powiat piński, na tak zwanym Zahorodziu, w 1 okręgu policyjnym pohostskim; gmina Dobrosławka, o 1 milę od stacji pocztowej Bobryk, na trakcie nieświeżsko - pińskim. Wieś ma 22 osady pełnonadziałowe (domy) i 67 mieszkańców; dobra, dość dawna własność Zawadzkich, 4100 dziesięcin ziemi. Miejscowość odosobniona, poleska, grunta lekkie. Tutejsza huta szklana wyrabia rocznie około 4600 kóp szkła prostego z dochodem rocznym do 1.000 rs”.

W innym miejscu znajduję informację: „Płotnica Mała, wieś i kolonia, gmina Dobrosławka, powiat Piński, sąd pokoju Łohiszyn, sąd okręgowy Piński. 657 mieszkańców. Stacja kolejowa (17 km) Małkowice, poczta, telefon i telegraf Piński, 1 cerkiew greckokatolicka obrządku wschodniego.”

W okresie międzywojennym Mała Płotnica była majątkiem ziemskim stanowiącym własność Wacława Zawadzkiego. Majątek był rozległy, tutejsi z okolicznych wsi i przysiółków, jak najczęściej określali się mieszkańcy Polesia, brali od pana Zawadzkiego dzierżawę, którą opłacali funtami suszonych jagód,

Jak opowiedzieć Kresy?

Spakowali dobytek, przygotowali się do podróży. Adolf jeszcze raz poszedł na cmentarz do Terebenia, żeby na mogile dzieci postawić mocny dębowy krzyż. Julia utkała ofiarny ręcznik, wyhaftowała akt strzelisty: „Maryjo módl się za nami”...



Fot. Archiwum Autora

żurawiny i grzybów, czasem pracą w lesie. Majątek obejmował rozległe obszary bagienne i podmokłe łąki z bogatymi obszarami leśnymi. Gdy brakowało ziemi, ubodzy dzierżawcy karczowali niewielkie leśne zagony i obsiewali je, najczęściej prosem. Ziemia dla ubogiego Poleszuka była największą świętością, czczoną zaraz po krzyżu, o czym świadczy życzenie: „Budź zdaróu jak wadã / Budź bahãty jak ziemia.”

Mała Julia Pawłowska urodziła się w ziemlance w przysiółku należącym do Małej Płotnicy. W relacjach Oskara Kolberga używane są nazwy: barak, ziemlanka, loch, a Alfred Gauda, współczesny etnograf i etnolog, wskazuje na dwa typy ziemlanek mieszkalnych: jamowe i wnękowe. Najubożsi często korzystali z takiej formy rozwiązania problemu mieszkaniowego, kierując się wyborem własnej przestrzeni nawet w ciasnej ziemnej jamie lepszym niż znoszenie zależności osobistej w przeludnionej chacie rodziców czy w wynajętej u bogatego chłopca izbie.

Odległe czasy powracają w ocalałych dokumentach i wydobywanych pytaniami nieostrych obrazach w pamięci mojej matki. Pamięta, biegała z matką Julią z Zaberezia do Płotnicy drogą przez las, do babci Emilii i dziadka Józefa złożonego chorobą.

Przez wysoki próg wchodziło się do izby, gdzie główne miejsce zajmował piec, na którego przedniej wystawie paliły się drwa, na piecu derka i poduchy, koło pieca ława, ceber, garnki na półkach, w głębi ziemlanki kołowrotek i krosna, niewielkie z sześćdziesięciocentymetrowym bidłem; pod ścianami z małymi wysoko umieszczonymi okienkami stały proste ławy, na których spali domownicy. W głębi pod obrazem Matki Bożej stała dzieża chlebna, szanowana, oddana w Bożą opiekę.

Ledwo pamięta imiona siostr swojej matki Julii: Elżbiety, oddanej na służbę, mieszkającej w Hancewiczach, Jadwini, która zmarła w straszliwych męczarniach w porodzie bliźniąt, Agnieszki, zwanej Aginią, po mężu Kuncewiczowej i najmłodszej, Malwiny, tę pamięta jako pannę w kapeluszu, która przyjeżdżała do siostry Julii z miasta. Niewiele o nich wie, niewiele pamięta, to nie jej pokolenie. Może nie o wszystkim wypada mówić, może jako dziecko nie rozumiała, o czym mówią, a odczytywała tylko emocje? Wszyscy mieszkali w pobliżu, nikt nie opuszczał rodzinnych stron. Jednak drogi dorosłych dziewcząt się rozchodziły, szły za mąż i szły za mężami i własnymi rodzinami.

Julia w dzieciństwie i młodości nie nauczyła się czytać i pisać. Nie było gdzie, nie było kiedy. Ważniejsze były praktyczne umiejętności: uprawa lnu, strzyżenie owiec, przędzenie, tkanie na krosnach, szycie, haftowanie, wyplatanie łapci z lipowego łyka, pieczenie chleba, praca w polu, troska o inwentarz i wiele innych zwyczajnych zajęć, od których zależało życie i przeżycie.

Wyszła za mąż, kiedy jej „hałubczyk”, Adolfik ukochany, wrócił ranny z wojny. I światowej straszliwej wojny, która tu trwała długo i podzieliła Polesie. Dopiero 18 marca 1921 został ostatecznie podpisany traktat pokojowy między Polską, Rosyjską SRR i Ukraińską SRR. Granica Polski na wschodzie została ustalona na linii Zbrucza i Dźwiny obejmując po stronie polskiej zachodnią część Wołynia i Polesia z Brześciem, Pińskiem i Łuckiem.

Adolf był trzynaście lat starszy, pochodził z rodziny, w której twardą ręką pięcioma synami rządziła matka, znana w okolicy „babka” Maciejca, czyli żona Macieja Matulisa. Nie była zadowolona z wyboru syna, ale on jej nie pytał, miał swoje lata, okrzepł na wojnie, wiele zrozumiał i dokonał wyboru. Adolf i Julia zamieszkali w Zabereziu, niedaleko, w dworskim czworaku, gdzie mieszkali już bracia Adolfa ze swoimi rodzinami.

Dni wypełniała praca, w chacie stała kołyska, rodziły się dzieci - dziewczynki - Antola, Wiktoria, Regina, Franciszka, Wanda, Ludwiczek, który żył tylko pół roku, Janeczka i Jaś, najmłodszy, wyczekany męski potomek. Nie było bogato, ale nie głodowali. W zimowe wieczory krewni zbierali się w chacie gościnnej Julii. Kobiety przędły lub dały pierze, czasem chata wybuchła raz śmiechem, raz śpiewem. Mężczyźni grali w karty, a w piecu dochodziły pieczone „kartoszki”. Gotowe gospodyni wysypywała do misy na stole, obok stawiała kiszoną kapustę okraszoną tłuczonym siemieniem lnu, każdy brał ręką i kartofle, i kapustę. Niczego więcej nie trzeba.

Młoda Polska dotarła do Zaberezia razem z nauczycielką Rozalią Pta-kówną z Warszawy. Była to szkoła o trzech oddziałach z jednym nauczy-cielem. W izbie szkolnej obok krzyża wisiały portrety Józefa Piłsudskiego i Ignacego Mościckiego, lekcje prowa-dzone w języku polskim, rozpoczyna-ły się modlitwą. Katechizmu uczył An-toni Matulis w swoim domu lub latem pod krzyżem na skraju wsi. W szkole powszechnej, w której pierwszych li-ter uczyły się dzieci Julii i Adolfa Matu-lisów półkolonie organizował co roku 84. Pułk Ochrony Pogranicza z Pińska. Dzieci dostawały biały chleb ze smal-cem i kakao, których smak i wyjątko-wość pamięta Renia, dziś moja mama i rozmówczyni. Nic nie mówi o biblio-tece, ale jej istnienie z pięćset dziewięt-nastoma pozycjami według stanu na rok 1937 odnotowuje publikacja pod redakcją Barbary Bieńkowskiej „Bi-blioteki na Wschodnich Ziemiach Rze-czypospolitej” (Poznań 1998).

Pamięta jednak, że dalszą naukę pobierała w Płotnicy, gdzie była szko-ła siedmioklasowa, kwaterując zimą u ciotki Agini Kuncewiczowej.

Niedługo był czas spokoju. Raz po raz docierały do Zaberezia niebez-pieczne słowa, zarówno z zachodu, jak i wschodu. Adolf Matulis przestrzegał żonę, by była ostrożna w rozmowach z sąsiadami, by nikt nie wiedział, o czym rozmawiają w domu ze swoimi. Byli bowiem tacy, którzy sprzyjali no-winkom zza wschodniej granicy.

I stało się! 9 września niemieckie samoloty nadleciały na Pińsk. Trakt z Brześcia do Pińska wypełniali uchodź-cy, głównie z Warszawy, w nadziei schronienia przed Niemcami. Do Ju-lii i Adolfa Matulisów zapukała Roza-lia Pta-kówna z koleżanką. Muszą się schronić, przeczekać jakiś czas, bo so-wieci przekroczyli wschodnią granicę. - Proszę bardzo, znajdzie się siennik. Zjecie to co my. Nie były długo w jed-noizbowej chacie pełnej dzieci.

A codzienność miała swoje pra-wa. Nakarmić dzieci, obrządzić by-dło, „parsiuiki” dopatrzeć, siano zwieźć z bagnistych łąk, bo zamarzło. Zima 1939/1940 zaczęła się w poło-wie grudnia i była najsurowsza w cią-gu wojennych lat.

Nieszczęścia idą parami, do wo-jennej tragedii doszła rodzinna. Przy-szła nieproszona, ze względu na ob-jawy nazywano ją krwawą biegunką. Nauka zwie ją dyzenterią, córką nę-dzy, niskiego poziomu higieny i bra-

ku wiedzy, co można jeść, a czego się wystrzegać. Podczas II wojny dziesiąt-kowała zamkniętych w gettach w Ło-dzi i Warszawie - wiosną 1942 roku codziennie zapadało na nią i umierało nawet po pięćset osób. W domu Ma-tulisów zabrała pięcioro dzieci. Zmar-ła zamężna Antola i jej dziecko, Frania, Janeczka, Wandzia. Sąsiedzi pomagali zbić trumny, na trumienne suknie Julia przeznaczyła swoją sukienkę ślubną, pieczołowicie przechowywaną. Wieź-li trumienki na cmentarz w Terebeniu bez księdza, który przyjeżdżał raz w miesiącu i któremu za ceremonię po-grzebową trzeba było zapłacić. Modlili się sami stawiając drewniany krzyż na mogiłce. Chorowała też Renia, ale ją uratowano w szpitalu w Pińsku.

Smutno i pusto zrobiło się w do-mu. Dochodziły coraz straszniejsze wiadomości. W Płotnicy Małej zamor-dowano rodzinę Kuncewiczów, sio-strę Juli i jej męża. Ocalała mała Ma-nia, która schowała się pod łóżkiem. Nie wykryto sprawców, ale miejscowi mieli swoje podejrzania. Dawni sąsiedzi powiązani często rodzinnie z mieszkającymi tu Ukraińcami unikają siebie. Antola, która wyszła za młodego Prokopczuka - była na cenzurowa-nym u teściowej. Odwiedziłam stary cmentarz w Terebeniu, niestety tyl-ko wirtualnie. Jest tam symboliczny dzwon poświęcony rodzinie Matuli-sów z roku 1887, nagrobki Aleksan-dra, Jana, Bronisława Matulisów, obok nagrobki zacej rodziny Skirmunttów, Kuncewiczów, Pawłowskich.

Wszystko trzeba było zostawić, tak zdecydowali Franklin Delano Ro-sevelt, Winston Churchill i Józef Stalin w dniach 4-11 lutego 1945 ro-ku na konferencji w pałacu Potockich w Liwadii pod Jałtą na Krymie. Polska utraciła Kresy z Pińskiem i Lwowem.

Spakowali dobytek, przygotowali się do podróży. Adolf jeszcze raz po-szedł na cmentarz do Terebenia, żeby na mogile dzieci postawić mocny dębowy krzyż. Julia utkała ofiarny ręcznik, wy-haftowała akt strzelisty: „Maryjo módl się za nami”, który zawiesili na wiej-skim krzyżu, tam, gdzie dzieci uczyły się religii. Furmanką dowieźli dobytek do stacji w Małkowiczach. Rozpoczę-li wielką podróż. Sylwester Chęciński w znanej powszechnie filmowej trylo-gii „Sami swoi” humorem rozbija trau-mę wypędzenia. Dla wielu repatrian-tów pierwszego pokolenia i ich dzieci i wnuków ten temat pozostanie klu-czowym w poszukiwaniu tożsamości.

Matulisowie dotarli do Bierna-towa. Osiedlili się ostatecznie w ko-lonii Osepisko pod Kocieniem Wiel-kim pod Trzcianką. Przyjechali tu niemal wszyscy z Zaberezia, Płotnicy Małej. Budowali od nowa swój świat. Julia nauczyła się czytać. Od tej pory jej ulubioną lekturą był modlitewnik. Adolf, córki Adolfa i Julii - Regina i Wiktoria wyszły za mąż, na gospo-darstwie pozostał syn Jan. Ożenił się, zajął z rodziną jedną część domu, oni mieszkali w drugiej. Cieszyli się wnu-kami, czasem kobiety spierały się, ale Adolf potrafił je pojednać. Kiedy w 1970 roku Janek zmarł nagle osiero-ciwszy troje dzieci, był to cios nie tyl-ko dla młodej żony. Dla Adolfa było w tym coś niepojętego, że znów los za-kpił. Nie mógł przeboleć straty. Zmarł dwa lata później. Został pochowa-ny w Trzciance, obok syna. Synowa z dziećmi wyjechała do miasta, Julia została sama. Nie było wyjścia. Znow przeprawa. Tym razem do Ob-jazdy, gdzie mieszkały córki. Zmarła w 1986 roku i została pochowana na miejscowym cmentarzu. Jakiś czas później ekshumowano jej syna Jana i męża Adolfa. Spoczywają teraz razem w jednej mogile w miejscu, którego istnienia nie przeczuwali.

* * *

Dostałam niedawno książkę „Kresy Rzeczypospolitej. Wielki mit Polaków. Dzieje wschodnich rubie-ży, okoliczności ich utraty i narodzin narodowej legendy”, w której Prze-mysław Czapliński w artykule „Kreso-we narracje” pisze: „Wielka narracja kresowa opierała się na figurze misji cywilizacyjnej niesionej ludziom za-późnionym kulturowo bądź na figu-rze demokratycznego współistnienia. Dekonstrukcja tej narracji nie zmie-rza ku zniszczeniu kresowego mitu, lecz ku odkryciu jego schowanych podstaw. (...) Te nowe, bardziej na-sze Kresy, trzeba odtąd opowiadać ze strony „pana” i „chama”, posiadacza i posiadanego, człowieka wolnego i zniewolonego - kimkolwiek by był. A opowiadając, trzeba pytać o warunki wytwarzające i odbierające wolność. Chodzi więc o narracje, które zasług i męczeństwa nikomu nie odbiorą, lecz zarazem uwzględnią struktury pano-wania. Bez takich opowieści Kresy tym bardziej będziemy tracić, im bar-dziej będziemy chcieli je we wzniosłej wersji zatrzymać”.

Czesława Długoszek, Objazda



Metoda na wnuczka w internecie

Do napisania tego artykułu sprowokował mnie e-mail jednej z czytelniczek. W pierwszej chwili sądziłem, że to tylko żart, lecz kiedy zacząłem szukać podobnych przykładów, nie wierzyłem własnym oczom.

Na internetowych stronach jest cała masa poszkodowanych osób, podobnie jak moja czytelniczka. W dobie wszechobecnego internetu planowanie wypoczynku stało się łatwym i przyjemnym działaniem. Możemy wytyczyć sobie trasę, zamówić bilety lotnicze, kolejowe czy autobusowe. Nie ma problemu, żeby zarezerwować sobie pokój w hotelu lub domek letniskowy. Wszystko to można zrobić za pomocą internetu. Specjalne mapy pokażą nam jak dotrzeć na miejsce. Wiele osób wyszukuje w internecie miejsc na swój wypoczynek. Przeszukiwane są różne strony z konkretnymi propozycjami na spędzenie wolnego czasu. Nie jest problemem spędzić go nad morzem, w górach, na Mazurach czy w innej części kraju, Europy, świata. Ogranicza nas tylko nasza wyobraźnia, i portfel. Czasami zdarzają się wyjątkowe okazje oferowane przez różne biura podróży, linie lotnicze, promowe czy kolejowe. Można za przysłowiowy grosz odbyć podróż do atrakcyjnego

miejsca. Taką atrakcję funduje swoim klientom 1 kwietnia (to nie prima aprilis) jedno z biur podróży - bilet za jeden grosz. Każdy, kto jest zainteresowany takimi okazjami, przegląda oferty i wyszukuje podobnych ciekawych „kąsków”. I tak, jak w życiu realnym, tak i w internecie są osoby, które wykorzystują naiwność internautów. Moja czytelniczka opisuje, jak trafiła na taką okazję wypoczynku w Zakopanem w trakcie ferii zimowych. Oferowano pokój, pełne wyżywienie, wiele innych atrakcji. Wymóg jaki trzeba było spełnić, to dziecko w wieku szkolnym, rezerwacja turnusu w ciągu trzech dni i oczywiście zapłacenie pieniędzy.

Oferta wydawała się bardzo atrakcyjna, na stronie internetowej były zdjęcia pokoju, łazienki, jadalni, widoki z okien na góry. Były nawet zamieszczone opinie osób, które wcześniej korzystały z tej formy wypoczynku w tym miejscu. Jak łatwo się domyślić, czytelniczka skuszona taką ofertą od razu zarezerwowała po-

kój dla trzech osób i przesłała wymaganą zapłatę. Zarezerwowała również bilety kolejowe - wcześniejsza rezerwacja jest także tańsza niż normalny bilet. Kiedy zbliżał się czas wyjazdu, próbowała skontaktować się z właścicielem domku. Jakie było jej zdziwienie, kiedy w internecie nie było już strony z ofertą, a nawet z samym domkiem. Zadzwoiła więc pod numer, pod którym wcześniej kontaktowała się z właścicielem. Telefon milczał. Po skontaktowaniu się z policją w Zakopanem, czytelniczka dowiedziała się, że pod tym adresem znajduje się jeden ze supermarketów. Tak skończył się jej zimowy okazyjny wypoczynek. Straciła pieniądze, które były nie do odzyskania. Przytaczam to ostrzeżenie nie po to, aby zrezygnować z nadarzających się okazji, lecz po to, by je dokładnie sprawdzać.

Aby rzetelnie odpowiedzieć czytelniczce oraz przestrzec inne osoby przed internetowymi nieuczciwościami, postanowiłem zbadać ten temat. W dzisiejszych czasach każdy może

złożyć stronę internetową o dowolnym temacie, także promującą opisywaną usługę. Przy wielkiej ilości zakładanych stron i blogów każdego dnia, trudno jest wszystkie skontrolować i ustalić ich wiarygodność. Ta odpowiedzialność spoczywa na nas, osobach korzystających z propozycji. Trzeba sobie zdać sprawę, że wraz ze zbliżającym się sezonem wypoczynkowym zainteresowanie atrakcyjnymi noclegami w popularnych miej-

na którym nie stoi żaden budynek lub prywatny dom, a częściej podany adres w ogóle nie istnieje. Jak ustrzec się takiej sytuacji?

Należy pamiętać że oszuści działają krótko, do momentu, w którym potencjalni goście odkryją, że kupili nieistniejące miejsca noclegowe. Fikcyjne oferty są dostępne w internecie nie dłużej niż jeden - dwa miesiące. Na szczęście, istnieją już sposoby, aby nie pozostać bezradnym. Zanim

łalności. Zgodnie z przepisami obowiązującymi w naszym kraju, Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów (UOKiK) przypomina, że w każdym polskim hotelu i pensjonacie na widocznym miejscu powinny być umieszczone: nazwa i adres przedsiębiorcy świadczącego usługi, tablica określająca rodzaj i kategorię obiektu, informacje o zakresie świadczonych usług wraz z podstawowymi cenami, informacje o przystosowaniu obiektu do obsługi osób niepełnosprawnych.

Do innych sposobów zabezpieczających należy zaliczyć skontaktowanie się z Wydziałem Turystyki i Promocji Urzędu Marszałkowskiego w danym województwie, a następnie z Wydziałem Ewidencji Działalności Gospodarczej, gdzie dokonane zostanie potwierdzenie działalności hotelu. W przypadku pokoi gościnnych czy kwater prywatnych, trzeba zadzwonić do urzędu gminy lub miasta, na terenie którego znajduje się ośrodek. Można także dokonać potwierdzenia autentyczności hotelu wpisując jego nazwę w Centralnym Wykazie Obiektów Hotelarskich (CWOH) Ministerstwa Sportu i Turystyki. Może zabrzmieć to dziwnie, lecz jednym z adresów uzyskania informacji jest komisariat policji w pobliżu takiego lokalu. Następnie należy sprawdzić wiarygodność konta bankowego. Można tego dokonać w wyszukiwarkach kont i nazw w prawie każdym banku.

Moja czytelniczka powołuje się też na opinie innych użytkowników zamieszczonych na stronie oszusta, które uwiarygodniają ofertę. Tak, to prawda, całość musi sprawiać wrażenie realności i wiarygodności. Jest i na to sposób. Wystarczy zadać pytanie o dany hotel na forach internetowych (np. www.wakacje.pl lub www.booking.com). Pomocnym też będzie Facebook. Wskazówki te powinny wyczulić, aby zapobiec wyłudzeniu pieniędzy i narażeniu na straty.

Jeśli przy przeglądaniu oferty istnieje jakakolwiek wątpliwość, po prostu należy zrezygnować i wybrać inną ofertę. Dobrze też jest zasięgnąć opinii znajomych, którzy skorzystali z wypoczynku w interesującej nas okolicy. Należy pamiętać o tych wskazówkach w nadchodzących feriach zimowych, tak aby wypoczynek był przyjemnością i relaksem, czego życzę wszystkim czytelnikom i czytelniczkom.

Mirosław Betkowski
miroslaw.betkowski@gmail.com



scowościach wzrasta nie tylko u osób chcących skorzystać z wypoczynku. Zainteresowanie potrzebami konsumentów i ich realizacją zajmują się wyspecjalizowane biura podróży, ale także oszuści.

Kilka razy w miesiącu ogólnopolskie media obiega informacja o kolejnych i niestety udanych próbach wyłudzenia pieniędzy od wypoczywających turystów, czego doświadczyła również moja czytelniczka. Mechanizm zawsze jest ten sam. Oszuści zakładają stronę internetową oferującą miejsca noclegowe po wyjątkowo korzystnej cenie nad polskim morzem lub w górach. Potencjalni klienci przeglądając oferty wypoczynku, wybierają propozycję oszustów i po kontakcie telefonicznym wpłacają zaliczkę. W określonym terminie rozpoczęcia urlopu rodzina dociera na miejsce i zastaje przykrą niespodziankę. Zdarza się, że jest to pole,

zostanie dokonany przelew pieniędzy za nocleg, można sprawdzić czy dany ośrodek istnieje, korzystając z szerokiej gamy dostępnych narzędzi.

Podstawową czynnością, jaką powinniśmy zrobić, to sprawdzić czy oferta która została zamieszczona na stronie jest wiarygodna. Pierwszym sygnałem jest możliwość uzyskania połączenia z telefonem stacjonarnym. Kolejną czynnością, którą powinno się wykonać jest sprawdzenie w centralnej ewidencji działalności gospodarczej (www.ceidg.gov.pl) informacji o działalności pensjonatu czy hotelu. Należy pamiętać, że jest to działalność gospodarcza i musi być zgłoszona do ewidencji. Należy także pamiętać, że przed wyjazdem warto zwrócić się bezpośrednio do przedsiębiorcy świadczącego usługi z prośbą o przedstawienie dokumentu potwierdzającego zaszeregowanie do określonego rodzaju i kategorii dzia-

Handlowców sposoby na wyciągnięcie pieniędzy

Konsumenci nie są zazwyczaj świadomi skali technik sprzedażowych i marketingowych, które są wobec nich wykorzystywane. Często sami nawet nie widzą powodu, aby głębiej zastanawiać się nad swoim zachowaniem, zarówno przed zakupem, jak i w jego trakcie – bo po co?

O ile fundusze na to pozwalają, nie ma przecież powodu, aby analizować każdą decyzję zakupową. Tylko nieliczny odsetek osób jest w stanie z dystansem przejść obok natrączywych komunikatów atakujących ich ze wszystkich stron. Techniki promocji są coraz bardziej wyrafinowane. Nierzadko zahaczają nawet o czystą manipulację. Ale czy to jest powód, aby się oburzać? Zdecydowanie nie. Wszyscy bowiem bierzemy udział w grze handlowej – jednak to od nas zależy, czy rozgrywającym będziemy my, czy sprzedawca. Dzięki zdobyciu pewnej wiedzy możemy sporo zyskać, a przy tym z przymrużeniem oka spojrzeć na niektóre zachowania handlowe.

Przed kolejnymi zakupami warto poznać najpopularniejsze sztuczki sprzedawców oraz triki marketingowe. Część opisanych poniżej technik jest znanych konsumentom, a część trochę mniej. Łączy je jednak jedno – niezależnie od indywidualnych osądów, stosowanie ich ma wymierne przełożenie na wyniki sprzedaży. I nie ma szans na to, aby w najbliższej przyszłości zniknęły całkowicie z rynku.

Cena to chyba najbardziej istotny atrybut brany pod uwagę przez klienta podczas zakupu. Końcówki 99 – stary trik przemawiający na wyobraźnię, którego skuteczność została potwierdzona przez liczne badania. Odbiór cen z końcówką „99” jest znacznie lepszy niż ceny o 1 jednostkę większą. W wielu przypadkach droższe produkty podaje się z wykorzystaniem innego miernika – przykładowo zamiast ceny za kilogram podawana jest cena za 100 gramów, itd. Analogicznie zamiast podawania ceny całego zestawu, komunikuje się ceny jego poszczególnych elementów, a zamiast ceny miesięcznego abonamentu lub rocznej składki ubezpieczeniowej podaje się, że to tylko „2 gr dziennie”.

Rabaty wyrażane w % – jeżeli produkt standardowo kosztuje 100 zł i obniżymy jego cenę o 10 zł, to okazuje się, że bardziej skuteczne jest podawanie rabatu 10%, a nie wartości wyrażonej w złotych. Żaden matematyk nie byłby w stanie tego racjonalnie wytłumaczyć, ale psycholog już tak.

Ceny od... to też jeden z popularniejszych sposobów na klienta. W komunikacji, zamiast standardowej ceny, podawana jest ta, która dotyczy najtańszej opcji. Dziwnym trafem zdarza się jednak tak, że produkty o najniższej cenie są tymi najmniej dostępnymi, np. podczas szeroko reklamowanej wyprzedaży do dyspozycji jest tylko



kilka sztuk obniżonych w 70% towarów. Część firm stosuje ten trik także w taki sposób, że podają cenę produktu o takich parametrach, na które i tak nie zgodziłby się żaden (zdrowomyślący) klient. Klasycznym przykładem są modele samochodów bez elementów, które powszechnie są uznawane za standard. Strategia ta ma za zadanie przyciągnięcie klienta do punktu sprzedaży, a zadaniem handlowca jest to, aby ów klient zostawił w kasie o wiele więcej niż ta wartość, która zwabiła go do środka.

Niezmienne często przy cenie umieszczane są dodatkowe gwiazdki, które odsyłają do objaśnień lub regulaminów, np. że podana cena dotyczy tylko zakupu drugiego towaru, lub też jest uwarunkowana od posiadania pewnej karty, itd. W momencie, gdy konsument zdecyduje się na dany towar i przy kasie dowiaduje się o nieznanym mu dotąd ograniczeniu, jest mu mimo wszystko o wiele trudniej zrezygnować z zakupu, niż gdyby posiadał pełną informację przed wyborem.

Bezpłatnie / za 0 zł. Wbrew pozorom nawet taka cena wybranych towarów lub usług w ostatecznym rozrachunku może okazać się opłacalna z punktu widzenia sprzedawcy. Ta forma komunikacji przykuwa uwagę i świetnie przekłada się na ruch w sklepie, z którego część na pewno zdecyduje się także na nabycie dodatkowych produktów pełnopłatnych.

Przesyłka za 0 zł (ale od 200 zł) - to jeden z bardziej chwytliwych sloganów w sklepach internetowych, który atakuje wrażliwe części umysłu nawet najbardziej racjonalnych klientów. Gdy już wartość koszyka przekracza 100-150 zł bardzo trudno jest stracić taką okazję i wiele osób decyduje się na dokupienie kolejnego produktu, którego tak do końca nie potrzebuje.

Często spotykamy się z sytuacją, że etykiety cenowe na półkach nie są starannie poukładane. Instynktownie bierzemy towar z półki i tylko rzucamy okiem na cenę, która znajduje się najbliżej niego. Niestety, nie zawsze jest to ta właściwa, o czym dowiadujemy się dopiero przy kasie. Niektórzy sklepikarze idą o krok dalej i „przypadkowo” w ogóle zapominają o podawaniu cen przy produktach („warywniaki” wiodą w tym prym).

Drogie jest dobre - to jedna z bardziej rozpowszechnionych... bzdur. O tym, jaki poziom ma mieć cena w sklepie decyduje szereg czynników, które nie do końca są powiązane z kosztami

wytworzenia lub jakością. Przykładowo jej poziom może być konsekwencją polityki cenowej lub też sposobu w jaki firma pragnie wprowadzać produkt na rynek. Narzuty rzędu setek procent nie są rzadkością, a produkt o takich samych składnikach, ale w innym opakowaniu i z innym logo, może kosztować w innym sklepie nawet połowę mniej. Stworzenie towaru kategorii Premium, a przy tym umożliwienie klientom zakosztowania luksusowości, można zrealizować tylko poprzez ustawienie wysokiej ceny, bez żadnych ingerencji w pozostałe elementy produktu.

Sprytniejsi sklepikarze starają się odchodzić od zaokrąglania cen. Wartość 42 zł może być lepiej odbierana od 40, bo sugeruje ona, że została starannie przeliczona w oparciu o koszty, a nie arbitralnie ustawiona.

Książki nie ocenia się po okładce i tak samo produktu nie powinno się oceniać po opakowaniu. Specjalnie zatrudniani designerzy są w stanie nawet bubel ubrać w wyjątkowy strój. Dobór kolorów na opakowaniu nie jest przypadkowy. Z jednej strony kolorystyka wynika z barw firmowych, a z drugiej dąży się do wyróżnienia produktu na półce lub też wytworzenia w umysłach konsumentów określonych skojarzeń. Inne odczucia towarzyszą kolorowi czerwonemu, a inne zielonemu. Nieprzypadkowo też towarom luksusowym towarzyszy czern.

Nierzadko po rozpakowaniu towaru następuje wielkie rozczarowanie. Okazuje się, że oczekiwania co do rozmiaru zawartości opakowania były o wiele większe, niż są w rzeczywistości. Powiązaną techniką jest celowe pomniejszanie ilości towaru w pudełku, pozostawiając przy tym cenę na niezmiennym poziomie.

Dlaczego informacja: „10% więcej gratis” zajmuje 30% opakowania? Gdy w głowach uruchomimy matematykę to okaże się, że tak naprawdę dzięki takiej promocji dużo nie zyskujemy, parę gramów lub mililitrów; ale gdy zasugerujemy się kształtem komunikatu na opakowaniu, to może się wydawać, że mamy do czynienia z okazją stulecia.

Producenci starają się tak dobrać wielkości produktów, aby nie dało się ich łatwo porównać cenowo z konkurencją. Jeżeli standardem dla danego produktu jest 1 l, to w końcu ktoś zacznie sprzedawać 0,85 litra, po cenie mniejszej tylko o 8%, a nie 15% - czysty zysk.

W przypadku ubrań część producentów wprowadza swój indywidualny zakres miar i rozmiarów. Jeżeli w jednej sieci odzieżowej nie mieścimy się już w S-kę, to na pewno znajdziemy taką, gdzie to będzie nadal możliwe. A po takich doświadczeniach, do której sieci będą częściej wracać klienci?

Aplikacje typu Photoshop są nieodłącznym narzędziem marketerów. Zanim zdjęcie trafi na materiały reklamowe i opakowanie przechodzi intensywną obróbkę graficzną. W końcowym rezultacie obraz, który jest komunikowany, nie pokrywa się kompletnie z produktem, który zobaczymy po zakupie - nie te rozmiary, nie te kolory, nie te kształty. Ale o tym dowiadujemy się zazwyczaj po zakupie.

Promocje - to narzędzie do kreatywnego manewrowania cenami i komunikacją. Ceny można podwyższać, a potem wprowadzać super przeceny, i tak w kółko. Nikt przecież nie jest w stanie pamiętać co, gdzie i ile kosztowało. Coś się nie sprzedaje, jest sporo zwrotów, zbliża się koniec terminu przydatności - odpowiedzią na wszystkie bolączki sprzedawców jest promocja. 2+1, 3 w cenie 2, itp. - to bardzo popularny sposób na tworzenie sztucznych okazji, którym trudno się oprzeć. Myślenie sprzedawcy w tych przypadkach wygląda mniej więcej tak: co zrobić, aby osoba, która kupuje jedną sztukę, kupiła teraz dwie? Może zejść z ceną - no, ale później trzeba ją przywrócić do wcześniejszego poziomu - zatem odpada. Może dodać gadżet - no, ale gadżet kosztuje, a do tego kwestie logistyki, odpowiedniego doboru, aby wszystkim pasował - za dużo zachodu - odpada. Okazuje się, że dodanie kolejnej sztuki z rabatem jest rzeczą najprostszą. A że terminów ważności nie da się przedłużyć, to już sprawa klienta.

Trzy pierwsze miesiące za 1 zł - aby przekonać klienta do zakupu musi on otrzymać wszelkie korzyści teraz, a nie za rok. Dodatkowo posługiwanie się niskimi cenami rzędu kilku złotych, sprawia, że ulega zmniejszeniu bariera zakupu. A co z standardowym kosztem, który trzeba będzie ponosić w pozostałych miesiącach? Można go obniżyć, wystarczy podpisać umowę na 24 miesiące, zamiast 12. I tak się rodzi przywiązany klient.

W kolejnym „Powiecie Słupskim” napiszę o pozostałych technikach wpływania na decyzje zakupowe konsumentów.

Marek Kurowski

Powiatowy Rzecznik Konsumentów



NA POZĄTEK(...)
 (...) ROSÓŁ NA GĘSINIE.
 potem spacer(...) i wróć po
 GĘŚ od rolnika STEFANA =
 MAŁY GRATIS się znajdzie



NA ŚW. MARCINA NAJLEPSZA POMORSKA GĘSINA

SWOŁOWO, LISTOPAD 2016



Zdjęcia: J. Maziejuk

